

ROLA.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.

W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.

W W. Ks. Poznańskim: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.

W Galicyi: Rocznie zlr. 12.—Półrocznie zlr. 6.

PISMO TYGODNIOWE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do Redakcyi, zamieszczają się recenzye.

Rękopisma nadsyłane nie zwracają się.

Ogłoszenia do Roli przyjmują się w Redakcyi po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce.

Adres Redakcyi. — Warszawa. — Nowy-Świat Nr. 4.

Co nam dało braterstwo?

I.

Od chwili ukazania się „Roli“ słyszymy jeden głównie zarzut: „siejście rozdwojenie, przeszkodzacie braterstwu z synami Izraela“, wołają przeciwnicy nasi. Jakkolwiek dziś zarzuty te nie mają żadnej prawie wiary u ludzi uczciwie i bezstronnie myślących, jakkolwiek na znane w tym rodzaju frazesy, odpowiedzieliśmy już całemi secinami faktów,—jakkolwiek wreszcie samo istnienie pisma prześladowanego w najrozmaitszy sposób, dowodzi, iż coraz mniej jest ludzi którymby deklamacye o „zgodzie z dziećmi jednej ziemi“ starczyły za wszelkie inne dowody, to jednak nie zaszkodzi zrobić rodzaj bilansu tej zgody, propagowanej tak zawzięcie: i przez większość prasy warszawskiej i przez tę część społeczeństwa polskiego, która pod jej wpływem odrętwiała, oślepla.

Jak zwykle, tak i na pytanie: co nam dało braterstwo z przygarniętem niegdyś plemieniem, jakie zebraliśmy tej „miłości bratniej“ owoce?—chcemy odpowiedzieć tylko faktami. Drażliwy to może dla wielu obrachunek, ale... konieczny.

Kiedy przed dwudziestu niespełna laty w skutek rozlicznych klęsk i całego szeregu zmian w ustroju społecznym, znaleźliśmy się w dziwnie trudnym położeniu materyalnym,—wówczas wszyscy ludzie głębiej patrzący, poczęli nawoływać ogół do pracy na długo zaniedbanych polach,—do podźwignięcia kraju z niemocy ekonomicznej, i do stopniowego wytwarzania jego dobrobytu. Myśl ta, na owe zwłaszcza czasy, bardzo zdrowa i prawdziwie rozumna, myśl wreszcie nawskróś obywatelska, znalazła poparcie nietylko wśród wielu miłujących kraj własny jednostek, ale i w poczynającej się wtedy silniej rozwijać prasie. Ruszono więc dość raźnie w tym kierunku; poczęto tworzyć banki i różne inne instytucye, lecz w tym nowym zwrocie musiano się obejrzeć w stronę, w której mogło być najwięcej *nervus rerum* wszelkich przedsięwzięć: kapitału.

Gdzie on mógł być? Naturalnie w ręku tej szczególnej rasy, dla której każda klęska ogólna bywa zwykle źródłem korzyści,—której wspomniane wyżej zmiany w społecznym i ekonomicznym ustroju społeczeństwa, nie dotknęły bynajmniej i która też zawczasu obliczyła, iż na tem pogarnięciu się ogółu do „pracy organicznej“ może grubo zyskać. Gdy więc rozpoczęły się debaty nad środkami ratunku większych posiadłości ziemskich, gdy wysunięto naprzód potrzebę „łatwego i taniego kredytu“, odpowiedzieli panowie finansisci:

„My wam ten kredyt damy, my was wydzwigniemy nietylko z trudnego położenia lecz i z objęć lichwy, my wspólnie z wami utworzymy najpotrzebniejsze instytucye, bo my przecież jesteśmy synami i obywatelami tej samej ziemi, my chcemy iść i działać razem w imię tylko braterstwa“.

I powstawały owe najniezbędniejsze instytucye,—a ogół nasz dzięki swej wrodzonej miękkości charakteru i dobroci serca, wołał w uniesieniu radosnem: patrzcie co to jest w stanie zrobić idea braterstwa, patrzcie jakimi to żydzi mogą być obywatelami. Odtąd niema już żydów, lecz są tylko „polacy wyznania mojżeszowego“; kochajmy ich, gdyż to bracia nasi.

Nie chcemy przesądzać co na te hasła ci bracia nasi odpowiadali sobie w duszy; fakta przecież dowiodły, iż te hymny na cześć „zacych obywateli“, były albo zbyt naiwne albo bardzo przedwczesne.

Posiadając w ręku największą ilość kapitału, żydzi mogli nietylko wziąć przeważny udział w różnych zakładających się instytucyach finansowych, ale nadto nadać im charakter taki jakiby najbardziej odpowiadał ich korzyściom własnym, skrzywić ich cele i skierować do jednej tylko myśli: wyzyskania chwili i... opanowania wszystkiego.

Jeżeli pod kierunkiem tej przewodniej idei synowie Izraela zdołali całe gospodarstwo finansowe zagarnąć w Niemczech, jeżeli Laskerzy i inni w tym samym rodzaju „patrioci“ potrafili zmylić czujność nawet żelaznego księcia Bismarka, to o ileż łatwiej, tę w całym świecie jednakową politykę swoją, mogli oni przeprowadzić u nas!

Jakoż przeprowadzili ją z tą zwykłą, właściwą sobie konsekwencyą, którą możnaby uwielbiać gdyby równocześnie, ze względu na nieszlachetność środków, nie trzeba było jej przeklinać i piętnować.

Stało się przeto, iż ziemianie naprzykład, o położeniu których tak wiele rozprawiano, których tyloma frazesami pocieszano, którym tyle obiecywano, pierwsi doznali smutnego rozczarowania. Te właśnie instytucye które miały im dostarczyć „łatwego i taniego kredytu“, otwały swe ramiona lecz nie dla nich bynajmniej. Idea braterstwa w owych bankach prywatnych świeciła dotąd tylko, dopóki dla ich ufundowania, obok kapitałów bankierskich — potrzeba było imion i kapitałów obywateli wybitniejszych, dających też i jedne i drugie w najlepszej nieraz wierze.

Gdy nowe machiny finansowe puszczane już zostały w ruch, mogli z nich korzystać przedsiębiorcy, ale ci przede wszystkim, dla których stojący u ich steru „dobroczynicy kraju“, byli najbliższymi: i krwią i pochodzeniem i temi celami o których tak pięknie mówi znany manifest „Wszelkiego światowego Aliansu“.

Rolnik, dla którego jedynym przedsiębiorstwem i jedynym warsztatem jest jego zagon własny, albo spotykał zawsze mnóstwo szykan, albo mógł korzystać z instytucyj kredytowych, za pośrednictwem tych tylko przemysłowców, dla których były one... dostępne. Czy nie tak było i czy nie tak jest dzisiaj? Czy nie tak jest, gdy się stara o kredyt uczciwy rzemieślnik lub trzymający się zdala od sfer izraelskich, przemysłowiec polski?

Oczywiście żydom dobrze z tem było, więc dostawszy w swe ręce i znaczną część prasy, z jednej strony wyśpiewywali dalej swoje hymny na temat jedności, zgody i braterstwa, z drugiej zaś pod pokrywką najlepszych niby życzeń dla kraju, popierali gwałtownie ów ruch quasi-ekonomiczny, widząc w nim doskonałą wodę na własne koła. Wołali tedy wielkim głosem: więcej instytucyj, więcej „interesów“ finansowo handlowych, gdyż od tego zależy dobro kraju. A kraj słuchał i jak stado Panurga szedł za wolą tych „podskarbiach narodu“, pracując ciężko na to, iżby oni bogacili się i... używali.

W tym „ruchu ekonomicznym“ nieomieszkali żydzi pochwyć i budzącego się do życia przemysł. Podniosły się rzemiosła i otwały nowe rynki zbytu na rozległym wschodzie; przeto rzucili się oni i w tę stronę, zdążywszy w krótkim bardzo czasie zdyskredytować nietylko ciesząc się naprzykład najlepszą opinią wyroby szewckie, krawieckie, etc., ale i wiele innych gałęzi produkcji polskiej. Nie dosyć przecież na tem. Porywając się na zakładanie fabryk bez odpowiedniego wykształcenia fachowego, bez uczciwości i bez odpowiednich częstokroć kapitałów, produkując tanio, szybko i źle, wytwarzają egzystencje przemysłowe chwiejne, efemeryczne, nie oparte na niczem, rezultatem znów czego... bankructwa za bankructwami i obudzona do polaków nieufność zagranicy.

A to wszystko stało się dzięki głównie propagandzie braterstwa, w obec której każdy głos ostrzegający, każdy protest przeciw tej straszliwie samolubnej gospodarce mógł być śmiało (!) nazwanym... nieobywatelskim. Żydzi, powtarzano ciągle, posiadają w swym ręku kapitały, oni chcą być dobrymi obywatelami, chcą przyczynić się do rozwoju ekonomicznego kraju, przeto nie należy ich drażnić, ba... nawet kontrolować. Nie było więc kontroli. Myśl w zasadzie zdrowa i zbawienna, myśl powolnego dorobku i wzmocnienia sił materialnych, została najfatalniej spaczoną, a broń którąśmy ukuli gwoli obronie własnej zwróciła się groźnie przeciw

PUŁKOWNIK.

OBRAZEK WIEJSKI

przez

Klemensa Junoszę.

(Dalszy ciąg).

Wreszcie po godzinie oczekiwania, godzinie, która wydała się Klaruni nieskończenie długą, przybył Alfred i nie wszedł do saloniku jak zwykle, ale udał się wprost do pokoju pułkownika.

Stary wiarus siedział przy biurku, rachunkami jakimiś zajęty, — usłyszawszy skrzypnięcie drzwi, odwrócił głowę.

— Ach! pan Alfred — rzekł nie bez pewnego zdziwienia — witam pana.

— Przepraszam, stokrotnie przepraszam, że przychodzę tutaj i przerywam zajęcie, lecz, panie pułkowniku do brodzieju, ja... właśnie pragnęłam z panem... pomówić.

— Słucham, słucham, odrzekł pułkownik, spoglądając na bladą twarz Alfreda, na której malowało się wzruszenie i niepokój — słucham cię, panie Alfredzie, przysuń sobie bliżej krzesło i mów czem służyć mogę?

nam samym. Smutek ogarnia, gdy ten okres dwudziestoletniej „pracy organicznej“ obejmie się okiem.

Ów ruch ekonomiczny, podjęty razem, w imię jedności i braterstwa przyczynił się do wzbogacenia, lecz nie naszego niestety. — Wszelki zysk, mówiąc otwarcie, przeszedł do kieszeni żydów, którzy też powoli poczęli tworzyć najmniej miłą ze wszystkich arystokracji — bo arystokrację pieniężną, rządzącą już dziś absolutnie nietylko w świecie finansowym. — Ona to nadaje większym miastom kraju ten charakter zbytku niemoralnego, wstrętnej pychy, używania dla używania i zepsucia — charakter, który jest dominującym rysem wszystkich większych miast Europy, gdziekolwiek żywiół semicki jest licznie reprezentowany.

W imię hasła rzuconego i propagowanego nieogłędnie mimo zmieniających się stosunków, w imię braterstwa z Izraelem, kraj nic prawie nie zyskał a stracił już przez to samo, że poważna bardzo część jego zasobów przeszła w ręce i pod panowanie kasty, mającej w całym świecie jedną i tę samą ideę... W imię tegoż braterstwa, sami, własnymi zabiegami, wzmocniliśmy bardziej jeszcze u siebie żywiół silny solidarnością i kapitałami, groźny brakiem zasad moralnych, bezwzględny w swych środkach, bezczelny w ich stosowaniu i dążący wyraźnie do wyzucia nas nawet z tego mienia, jakie nam pozostało.

Są to przecież dopiero straty materialne. — O innych rezultatach braterstwa i o programie jaki te gorzkie owoce na przyszłość nam wskazują, pomówimy w artykule następnym.

PRZEGLĄD SPRAW ZIEMIAŃSKICH.

Tendencyjne straszdyła i ich skutki w kwestyi spółek. — Prózne zamachy na myśl zdrową. — Spółka hrubieszowska. — Jej cel i właściwe operacje. Nowe współzawodnictwo. — Pszenica indyjska. — Ciekawe sprawozdania. Siła konieczności. — Artykuł „Hodowcy“ w interesie producentów wełny. Myśl godna podniesienia. — Zaliczki Banku Polskiego.

Wierni programowi niepomijania żadnej ze spraw dotyczących tego co stanowi podstawę bytu naszego społeczeństwa: własności ziemskiej, chcielibyśmy niezależnie od artykułów osobnych i wiadomości podawanych w innych działach naszego pisma, prowadzić pewien rodzaj kontroli tych mianowicie kwestyj, które w danej chwili, interesując najżywiej stan ziemiański, stoją jako takie, na porządku dziennym.

Zdawało się pułkownikowi, że prawdopodobnie Alfred przychodzi w interesie brata, że może celem tej konferencji jest zaciągnięcie dla niego jakiej pożyczki, gdyż właściciel Borków w opinii sąsiadów za zamożnego człowieka uchodził — a Starzyn wiecznie pożyczek potrzebował...

— Panie pułkowniku — rzekł Alfred — sądzę że jako stary żołnierz i człowiek dawnej daty, wolisz otwartość szczerą, aniżeli wszelkie długie wstępy i wywody.

— Zgadłeś pan, sam tak postępuję — i lubię żeby zenną postępowano w ten sposób. — Dlatego też zechciej pan powiedzieć otwarcie co masz na myśli, i bądź przygotowany na to że ci również szczerze i otwarcie odpowiem.

— Więc będę otwartym, pułkowniku! przyszedłem tu dlatego... że kocham twoją wnuczkę.

Pułkownik z krzesła się zerwał.

Alfred również podniósł się, oparł rękę o krawędź biurka i milczał.

— Kochasz moją wnuczkę!? Klarunię pan kochasz? czyś tak powiedział?

— Tak jest, panie pułkowniku, kocham ją.

— Hm? czemuż ja się dziwię? ktoby tego dziecka nie kochał? ale, panie Alfredzie — dodał poważnym, niemal uroczystym głosem — jeżeli przychodzisz prosić o jej rękę, jeżeli żądasz abym ci powierzył to dziecko ukochane... nie, nie

W tym celu, wprowadzając rubrykę niniejszą, chcielibyśmy pierwszy nasz „Przegląd“ rozpocząć od sprawy najbardziej nam leżącej na sercu: od spółek.

Jesteśmy najmocniej przekonani, iż gdyby nie pewne głosy ostrzegające przed niebezpieczeństwem (!), jakim spółki grozić mają każdemu kto nie należy do... pewnego „narodu“ stanowiącego jedną wielką spółkę, gdyby nie ta zawziętość, z jaką straszono rolników szukających ratunku we własnej solidarności, widmem byłych domów zleceń; gdyby nie te i tym podobne, a najczęściej rozmyślnie, tendencyjne i godne najsilniejszego potępienia *balamuctwa*, mielibyśmy już do tej pory nie kilka, ale kilkanaście, — kto wie nawet czy nie kilkadziesiąt stowarzyszeń ziemianskich.

Szczęściem myśli zdrowe, myśli zrodzone istotną potrzebą społeczeństwa, mają to do siebie, że ich najgłośniejsze bodajby krzyki zagłuszyć nie są w stanie, a przytłumione chwilowo, wstają, odradzają się i rozwijają z coraz większą siłą.

Tak jest i ze sprawą spółek. Mimo zacieklej opozycji w pewnej części prasy, powodzenie spółki pułtuskiej stało się argumentem, w obec którego nawet ta opozycja zamilknąć musiała, a świeżo zawarty kontrakt: „Pierwszego stowarzyszenia ziemian hrubieszowskich“ stanie się niezawodnie bodźcem dla wszystkich albo mniej odważnych albo obalamuconych argumentami (?) przeciwników wszystkiego cokolwiek stan ziemianki wcześniej lub później potrafiłoby wyrwać z duszącego uścisku monopolu handlowego i pozwoliło mu swobodnie nieco odetchnąć.

Cel spółki hrubieszowskiej jasno jest określony w kontrakcie, którego ogłoszenie drukiem zasługuje na szczere słowo uznania.

Wyjednywanie kredytu dla stowarzyszonych, ułatwienie im kupna lub sprzedaży z zyskiem produktów rolnych, ułatwienie nabywania maszyn, narzędzi, nasion i w ogóle przedmiotów w gospodarstwie potrzebnych, wreszcie przedsięwzięcie wszelkich czynności któreby przyczyniały się do powiększenia dochodu z dóbr stowarzyszonych, oto główne zadanie stowarzyszenia.

Również jasno są określone i właściwe operacje spółki. Uczestnik żądający kredytu wystawia weksel na zlecenie spółki a zarząd złożony z dwóch spółników weksel ten zaopatruje indossem, z podaniem solidarnej odpowiedzialności stowarzyszonych obok uwolnienia od protestu i zapowiedzi w terminie prawnym. Za weksle w ten sposób wystawiane odpowiadają wszyscy spółnicy; spółnik zaś nieuiszczający się we właściwym terminie, może być usunięty z stowarzyszenia.

Kapitał spółkowy oznaczono w sumie rs. 7,150, a najwyższą sumę kredytu po za którą wierzytelności spółki przechodzić nie mogą, ustanowiono w kwocie 71,500 rubli.

Już z tych kilku punktów kontraktu widać, iż stowarzyszenie kierowali się z jednej strony zdrową zasadą rozpoczynania od rzeczy stosunkowo niewielkich, z drugiej zaś byt stowa-

panie Alfredzie, ja ci dziękuję za zaszczyt... ja ci wierzę... ale to niepodobieństwo! to rzecz niemożliwa.

Jakby zmęczony wypowiedzeniem tych wyrazów, pułkownik nie usiadł, lecz padł raczej, na fotel.

Chwilkę jakąś milczenie trwało.

— Pułkowniku—rzekł wreszcie Alfred—jakikolwiek będzie twoje postanowienie, posłuchaj mnie jeszcze, poświęć mi tylko jedną, jedyną godzinę uwagi— pozwól że wszystko co myślę wypowiem, jak przed ojcem rodzonym...

— Więc mów pan — szepnął pułkownik, schylając głowę na piersi.

— Rozumiem, niestety, aż nadto dobrze przyczyny odmowy, na którą byłem zupełnie przygotowany.

— Przygotowany? więc spodziewałeś się pan jej?

— Tak — i pomimo tego przyszedłem tutaj nie bez pewnej nadziei. Po miłość twej wnuczki, panie pułkowniku, — wnuczki, która jest twoim najdroższym skarbem na świecie, nie skradam się jak złoczyńca—wolę iść prostą drogą—może mi się uda zdobyć ją— ją i przywiązanie twoje, pułkowniku.

— W jakiz sposób?

— Naprzód muszę opowiedzieć krótką historię mego życia, a raczej jeden jej fragment, który się od niedawna datuje. Kiedym zobaczył pannę Klarę, kiedym poznał ciebie, panie pułkowniku, wasz sposób życia, przekonania wasze i zasady, uczułem dla pana najwyższy szacunek, a dla pań-

rzyszenia oparł na wzajemnej dobrej wierze i własnej solidarności. — Wszyscy odpowiadają tu za jednego, jeden za wszystkich — i w istocie tylko w solidarności takiej, tkwi podług nas, jeden z najpewniejszych środków uratowania własności ziemskiej od tej ruiny jaka jej i dziś, mimo podniesionego poziomu pracy fachowej i zabiegliwości, grozić nie przestaje.

Z rozmaitych też doprawdy stron nad tą strzechą szlachecką i zagonem ojczystym zbierają się ciężkie, ołowiane chmury. I teraz, obok zbożowej konkurencji amerykańskiej występują z pszenicą i Indye Wschodnie! Czytamy właśnie w dziennikach zagranicznych ciekawe w tej kwestyi sprawozdania. — Nowe to współzawodnictwo Indyj zjawilo się z chwilą ułatwienia środków komunikacji. Od czasu mianowicie otwarcia kanału Suezkiego pszenica indyjska zaczęła coraz obficie napływać na rynki Europy, a głównym jej odbiorcą jest Anglia, w której zresztą i państwowym i handlowym interesie leży, jak największy rozwój gospodarstwa zbożowego w Indjach. Jakoż dzięki tym staraniom praktycznych synów Albionu, wywóz pszenicy indyjskiej do Anglii wzrasta olbrzymio, tak że gdy w r. 1874 wynosił on wszystkiego 33,080 tonn, już w 1882 doszedł do 417,950 tonn, a w roku zeszłym wzrósł do 1,100,000 tonn. — Aby zresztą mieć pojęcie o sile i znaczeniu tej... świeżej konkurencji, jaka zawisła nad rolniczymi krajami Europy, dość wspomnieć, iż według danych statystycznych ogłoszonych przez indyjski departament rolnictwa, przestrzeń zajęta pod zasiew pszenicy w Indjach, wynosi już w ostatnim czasie ni mniej ni więcej tylko *dwadzieścia sześć milionów* akrów. Olbrzymi to obszar! — Dla porównania dość nadmienić, że kraje którym się należy słusznie miano krajów rolniczych, jak np. Węgry, zasiewają zaledwie szóstą część tej przestrzeni, a obszar gruntu użytego pod uprawę pszenicy we wszystkich ziemiach zostających pod panowaniem Rosyi, zaledwie dopiero może iść w porównanie z obszarem zajęтым na ten sam cel w Indjach. Jest więc nad czem zadumać się, zastanowić poważnie i pomyśleć chyba naprawdę o powolnem, lecz systematycznym wprowadzaniu tych zmian w naszych gospodarstwach rolnych, o jakich od lat kilku bardzo wiele się mówi i bardzo wiele pisze.

Wiele również pisało się już i w sprawie zbytu jednego z nader ważnych produktów gospodarstwa wiejskiego jakim jest wełna, a przecież i dzisiaj wszystko tu tak jak było—niestety.

Słusznie więc i na dobre rzecz tę podniósł „Hodowca“. Niema wątpliwości iż wełna nasza zarówno ilościowo jak i jakościowo ważną bardzo odgrywa rolę w europejskim handlu tym towarem, i pragnąć też jedynie należy, by corychlej zajęła przynależne sobie tam miejsce. Zależy to przecież głównie od uregulowania zbytu, od wprowadzenia tej gałęzi handlu na właściwe tory, a nadewszystko od usunięcia tego nadmiaru pośrednictwa, które nietylko producentom wełny, ale i ogólnemu majątkowi kraju przynosi szkodę

skiej wnuczki życie bym oddał. Cała przeszłość moja wydała mi się tak cczą, bezbarwną i pustą, że chciałbym ją po-grzebać na wieki, pokryć czarną zasłoną — z pamięci zupełnie wymazać.

Pułkownik spojrział na niego i z uwagą wielką słuchał dalej.

— Natomiast—mówił Alfred—zapraǳem rozpocząć życie nowe, takie życie, którem bym zmarnowaną tę przeszłość okupił, postanowiłem sobie zerwać z dawnym otoczeniem... skierować się na drogi lepsze... Pułkowniku, wysście przebudzili moją duszę, uszlachetnili serce moje, i czy dziwić się możesz że wam to właśnie serce ofiarować przychodzę?

Pułkownik się zamyslił.

— Ale nie myśl pan — mówił zapalając się Alfred — że wam czcze obietnice przynoszę... Nie! ja was oboje czynem przekonam że jestem was godny. Dziś podajcie mi tylko ręce i błogosławcie na drogę, za parę lat przyjdę już serc waszych zażądać — a teraz, pułkowniku, czy trwasz jeszcze przy twojem postanowieniu?

— Panie Alfredzie, pomówmy spokojnie, przedewszystkiem podaj mi rękę, niech ją uścisknę — z życzeniem abys wytrwałym był i silnym. Jeżeli w tem, jak je nazywasz, przebudzeniu się grał jaką rolę mój wpływ i wpływ mojej Klaroni, to dla nas zaszczyt i pociecha. — Znasz pan moje przekonania, wiesz zatem, że jakkolwiek są one demokraty-

zbyt wielką, iżby uniknięcia jej nie wypadało pragnąć. Przewszystkiem przeto według autora artykułu w „Hodowcy“ należy podtrzymać i rozwinąć doroczne jarmarki na wełnę w Warszawie, zapewniając im większe dowozy towaru — i tym sposobem dać kupcom zagranicznym większą rękojmię do spełniania na rynku warszawskim znaczniejszych, bezpośrednich zakupów. Aby zaś ten znów cel osiągnąć, należy podjąć środki któreby mniej zamożnych producentów wełny wydobły z rąk miasteczkowych handlarzy, a jednym ze środków takich mogłoby być udzielanie zaliczek przewszystkiem przez Bank Polski, który posiadając w swym ręku jarmarczny handel wełną, nie ryzykowałby nic, a producentom wełny świadczyłaby prawdziwą przysługę, przez uchronianie ich od tego wyzysku, jakiemu dziś, radzi nie radzi, poddawać się muszą.

Mysł to podług nas godna ze wszech miar szczegółowej rozważki, a w każdym razie godną ona jest przynajmniej tego, iżby ją podnieść w pismach i nadać większy rozgłos. — Jeżeli zaś dzienniki nasze nie uczyniły tego do tej pory, to znów dziwić się tak dalece nie można. Czyż bowiem dla podnoszenia jakichś tam (!) „spraw ziemiańskich“, warto uszczuplać miejsca przeznaczonego na udzielanie rad Bismarkom, Gladstonom, Gordonom-Paszom i innym mężom politycznym?

J. Oracz.

Wielki Człowiek.

ILLUSTRACJA DO GOSPODARKI FINANSISTOW NIEMIECKICH.

przez P...

(Dalszy ciąg).

Mowa Kobylinera nie odznaczała się wcale oryginalnymi poglądami ani świetnością krasomówczą, a mimo to winszowali mu towarzysze „odwagi cywilnej“. Był on rzeczywiście odważnym, gdyż trudno nazwać inaczej człowieka, broniącego publicznie przed wybrańcami narodu rzemiosła, potępionego przez całą przeszłość. — Niepopularnego wyrazu „lichwa“ obawiali się liberalni, a przecież szło im głównie o bezkarność pieniądza. Kobyliner podjął się wymówić zohydzone słowo, zrobił początek, ułatwiając reszcie dalszą wojnę w imię „wolności“ z t. z. ograniczeniami średniowiecznymi, i dlatego zaskarbił sobie wdzięczność swych „przyjaciół“.

Wracając na swe miejsce obrzucił wzrokiem galerię. W łozach siedzieli prawie sami żydzi, finansisci i dziennikarze, czekający niecierpliwie na koniec rozpraw.

Kobyliner przesunął wzrok swój szybko po twarzach biernych słuchaczy, jakby kogoś szukał. Po chwili zatrzymał się na jednej z fizjognomij dłużej i uśmiechnął się.

— czne, na zasadzie słuszności i sprawiedliwości oparte, jednak cenię wysoko te rody, w których pokolenie każde przynosiło dla kraju swego i społeczeństwa zasługi. Wasz ród do takich należał. Wybacz panie Alfredzie żem powiedział: należał — a nie: należy, — bo oto już drugie pokolenie jego gnusnieje w bezczynności i resztki ojcowizny przejada. — Wszak nie zaprzeczysz tego?

— Niestety, szczerą to prawdą.

— Przodkowie wasi zajmowali niegdyś senatorskie krzesła, pastorały nosili i buławy — dziad twój legł na polu bitwy śmiercią walecznych i na tem blask imienia się kończy. Dziś, drogi panie Alfredzie, innych kraj zasług wymaga, dziś potomek hetmanów, narówni z dzieckiem szewca, powinien jąć się cichej, nierozgłosnej, ale pożytecznej pracy, i tą pracą uszlachetnić się i ozdobić. Jeżeli ci się to uda będziesz miał honor żeś upadający ród podniósł.

— Słówko zachęty brzmi w tem co mówisz, panie pułkowniku.

— Czyż może być inaczej? — chcesz iść na dobre imię zarabiać — idź, idź, wytrwaj w zamiarze.

— A skoro wrócę? — zapytał Alfred niesmiało.

— Skoro wrócisz? cóż ci na to odpowiem? — Czy wyznales swoje zamiary Klaruni?

— Tak, panie.

— Dawno?

Uśmiechowi temu odpowiedziało lekkie skinienie głowy. To przytakiwała posłowi panna Goldberg, jego tancerka z wieczoru u Herzstein'ów. Piękna żydówka mówiła oczami: znakomicie!

W tej chwili stawał na mównicy drugi poseł, mający przemawiać w imieniu zachowawców.

Sredniego wzrostu, zbudowany bez skazy, szeroki w ramionach a wiotki w pasie, z twarzą wyraziście zarysowaną, z nosem lekko zagiętym, trzymający się prosto, dumnie, wyglądał jak oficer, przebrany w suknie mieszczańskie.

Ściągnawszy brwi, zaczął mówić wolno, głosem dobitnym, jak gdyby stał przed frontem.

— Szanowny mój poprzednik oświadczył, że osłanianie słabszych przed mocniejszymi, niedołężnych przed zdolnymi, głupich przed sprytnymi, nie jest wcale zadaniem ani celem państwa nowożytnego.

— Rozumie się samo przez się — zawołano z ław liberalnych.

— Zdaniem moim i przyjaciół moich nie rozumie się to samo przez się, owszem, rozumie się raczej samo przez się, aby państwo było opiekunem tych, którzy potrzebują jego opieki, gdyż na to chyba jest państwem, czyli stowarzyszeniem wszystkich obywateli, łączących się w jedną całość, celem ogólnego bezpieczeństwa.

— Pojęcia przestarzałe — odezwał się Kobyliner.

— Być może, że przestarzałe, — mówił konserwatysta spokojnie — być może, że nie odpowiadają wyobrażeniom nowszemu o walce o byt, lecz nie wszystko stare bywa złe, jak nie wszystko nowe dobrem. Panowie, państwo jest zdaniem moim właśnie tą instytucją ludzką, która broni za pomocą prawodawstwa słabych i uczciwych przed mocnymi i niegodziwymi. A lichwa jest nikczemnością, jest zbrodnią, mimo frazesów liberalnych.

— Słuchajcie, słuchajcie! — zawołał jeden z liberalów.

— Nie cofam swego zdania. Szanowny mój poprzednik przytoczył dwa przykłady, mówiąc, że można każdą rzecz z rozmaitych obejrzeć stron. — Bez wątpienia, i dlatego pozwolę sobie zrobić poprawkę w ilustracji pana Kobylinera. Przyznaję, że lichwiarz może być w danym razie nawet dobrodziejem, jak chce pan Kobyliner, lecz sąż wymienione położenia normą, regułą? — Wiemy przecież wszystkim doświadczenia, że się zupełnie inaczej dzieje. Przewszystkiem powiedzmy sobie, że i lichwiarz nie da ani grosza bez zastawu, bez nadziei zwrotu. Ryzykuje on wprawdzie dość często, lecz niema przypadku, aby dawał pożyczkę bez wszelkich gwarancji. Mały urzędniczek, drobny rzemieślnik, w końcu robotnik, mogą się czasem znaleźć w położeniu, odmalowanem przez pana Kobylinera, lecz mały urzędniczek hipotekuje dług lichwiarski na swej pensyjce, rzemieślnik na swym warsztacie, a robotnik na swej pracy. Gwarancji takich nie uznają banki i instytucje, wiem o tem, lecz mimo to, są one niemniej rękojmią istotnymi, rzeczywistymi. — Największą zaś gwarancją bywa uczciwość ludzi ubogich,

— Przed godziną, spotkałem pannę Klarę nad rzeką — i wypowiedziałem wszystko co czuję.

— Jakąż odpowiedź dało ci to dziecko?

— Panie pułkowniku, to nie dziecko — dała mi odpowiedź przychylną — nawet o ile się mogę domyślać, nie jestem obojętnym dla niej — lecz jak na teraz ofiarowała mi przyjaźń tylko i powiedziała, że gdy tu powrócę po latach do Borków, to zastanę tak samo Klarunię przy boku kochającego dziadka — i wtenczas od was obojga ostateczną odpowiedź usłyszę. Panna Klara jest jeszcze tak młodziutką.

— Dobrze, zacne dziecko — ale panie Alfredzie, czy można ją krępować zobowiązaniem, czy kilka lat nie zmieni jej usposobienia? Jesteś pewny że Klarcia czekać będzie?

— Pułkowniku, — rzekł poważnie Alfred — niewinność nigdy nie kłamie.

— A z drugiej strony czy możesz zaręczyć za siebie? Młody jesteś, nowe wrażenia mogą zatrzeć dawniejsze...

— Honor również nie kłamie — dodał z mocą.

— Ha, skoro tak mówisz — daj rękę.

Alfred skwapliwie dłoń pułkownika pochwyił i ucałował ją z synowskim prawdziwie szacunkiem, pułkownik schylił się w głowę go całując.

Potem zadzwonił.

Chłopak, wyprostowany jak struna, we drzwiach stanął.

— Panny Klary tu prosz — rzekł pułkownik.

o czym wie każdy lichwiarz, i dlatego ryzykuje właściwie bardzo rzadko, chyba że śmierć dłużnika zniszczy jego rachuby.

— Do rzeczy! — wtrącił jakiś niecierpliwy liberal.

— O ile wiem, nie odstępiałem dotąd od rzeczy ani na jeden cal — odparł mówca — proszę mi przeto nie przerywać. Tak zwane ryzyko lichwiarza nie wytrzymuje krytyki, tem więcej, że niesłychanie wysoki procent wynagradza wszelkie drobne straty, gdyby się jakiegokolwiek miały przytrafić wskutek nieprzewidzianych okoliczności. — Lecz komuż to pożyczają lichwiarze? Oficerom i studentom i to na słowo honoru, wiedząc, że oficera wykluczą koledzy z korpusu, a studenta wykreśli senat z listy *civium academicorum*, gdy nie dotrzymają zobowiązań. I komuż jeszcze? Małoletnim, rozrzucającym lekkomyślnie grosz ojców. I jeszcze komu? Ubogim rzemieślnikom, niezaradnym chłopom, drobnym urzędnikom, słowem, wszystkim tym, którzy albo nie chcą, albo nie mogą się obronić. A wiemy, że kto raz wpadł w ręce lichwiarza, ten nie wychodzi z nich cało. Zupełna ruina, samobójstwo, lub hańba w braku odwagi, oto zwykły koniec dobrodziejstwa lichwiarskiego. Rzeczywiście, trzeba być chyba oslepionym jakimś frazesem jednostronnym, aby kruszyć kopię w imię rzemiosła, potępionego przez wszystkie wieki, trzeba nie mieć ani odrobiny serca, aby rzucić na pastwę zgrai podłych wyzyskiwaczy: ubogich, małoletnich, wdowy i sieroty, boć ani ja, ani pan Kobyliner, mniemam, nie będziemy chcieli korzystać z mecenasostwa lichwiarzy.

Lewica śmiała się, a z ław liberalnych zawołano: do rzeczy, nam idzie o zasadę!

— O, i mnie idzie tylko o zasadę, a główną zasadą człowieka uczciwego było po wszystkie czasy: pomagaj słabszemu, gdzie tylko możesz. — Tak uczy wiara Chrystusowa, tak uczył i ów zozydony dziś kodeks rycerstwa średniowiecznego. Panowie, jeżeli komu wypada wstawiać się u rządu za słabszymi, to chyba najwięcej nam, których naród posłał po to do sejmu, abyśmy bronili interesów całego społeczeństwa, a nie przywilejów pewnej kasty, któraby się chciała utuczyć potem pracy i nędzy, któraby...

Głośne sykanie przerwało mówcy na chwilę. Lecz on czekał spokojnie na milczenie, a gdy wrzwa ustała, mówił dalej:

— Tak, pewnej kasty, nie cofam słów powyższych. Bo rozpatrzmy się tylko dobrze. O cóż idzie tak zwanemu stronnictwu liberalnemu? Służycie panowie silnie zwartej grupie finansistów i przemysłowców, pragnących wyzyskać korzystne położenie chwili...

Ponowny hałas przerwał mówcy, lecz on nie zrażał się wcale, tylko czekał.

— Nazywacie się panowie liberałami, lecz czy bronicie celów i ideałów prawdziwego liberalizmu.

— Bronimy, bronimy!

— Gdzie? Niech panom odpowiedzą koledzy nasi z lewicy.

Po chwili zapłoniona, nieśmiała, weszła Klarcja.

— Jestem, dziaduniu — rzekła.

— Dziecko moje, — rzekł uroczyście pułkownik — czy domyślasz się z jakim zamiarem przybył tu pan Alfred?

— Wiem, dziaduniu — szepnęła nieśmiało.

— Czy przyjmujesz zatem?

— Jak dziadunio każe...

— Nie, moje dziecko, tu do rozkazania nic niema, chcę usłyszeć twoje wolne, zupełnie niezależne zdanie... no, mów więc śmiało.

— Tak... — szepnęła ledwie dosłyszczanym głosem.

— Dobrze — a teraz jeszcze jedno pytanie.

— Słucham dziadunia.

— Czy zbadalaś dobrze własne serce? czy ty go kochasz, Klaruniu?

Dziewczyna milczała.

— Czy go kochasz? odpowiedz, moja mała.

— Ach mój Boże, ciągle to pytanie... pan Alfred się pytał... teraz dziadunio się pyta...

— I ja się jeszcze pytam — rzekł Alfred, ujmując ją za rękę.

Pułkownik rozśmiał się.

— No, moja Klarciu, tegom się nie spodziewał po tobie, żebyś miała myśli, którychbyś wobec mnie i na moją prośbę wypowiedzieć nie chciała. Nienawidzę skrytości.

— Oni pracują dla nas! — zawołał jeden z socjalistów.

— Słuchajcie, słuchajcie! — szeptało na prawicy.

— Czy słyszeliście, panowie? Pracujecie dla socjalistów, czyli, że popierając jedynie interesa burżuazyi, przyczyniacie się do rozbudzenia nienawiści między chlebobawcami a robotnikami. Sądzę, że tak trzeba rozumieć uwagę lewicy.

— Brawo, brawo! — krzyknęli socjaliści, zanosząc się od śmiechu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Badania nad pochodzeniem ludności naszego kraju.

Znany węgierski podróżnik — Vambéry, w jednym z publicznych odczytów, ostatnimi czasy wypowiedzianych, twierdzi, że niema prawie narodu w Europie, który byłby z pochodzenia tem, czem się być mieni. Nie mówiąc o narodowościach takich, których mieszane pochodzenie wiadomem jest niewątpliwie, nie trudno dopatrzeć się mieszaniny ras nawet u ludów szczycących się czystym swem pochodzeniem, jeżeli nietylko język, lecz etnograficzne i antropologiczne cechy ras naukowej krytyce poddane zostaną. — Uczony ten twierdzi dalej, że sąsiedzi nasi Niemcy, wyprowadzający ród swój w prostej linii od Cymbrów i Teutonów, są w większej części wynarodowionymi, to jest zniemczonymi Słowianami, a zamieszkali wśród nas Żydzi nie są Semitami, lecz potomkami tatarskiego plemienia Chazarów, które rozlało się po Europie, przyswoiwszy sobie przedtem religię żydowską.

Niezależnie od badań uczonego orientalisty węgierskiego, do podobnych wywodów doprowadziły badania jednego z naszych uczonych, którego prace, ogłoszone w języku francuzkim, mniej są znane naszej publiczności. O tych pracach tedy chcę słów parę powiedzieć.

Dzieło o którym mówię mamy, nosi w oryginale tytuł: „*Esquisse d'une histoire de la civilisation de l'humanité d'après la méthode brahmanique*“ Paris 1883 (Szkic dziejów cywilizacji ludzkości według zasad bramizmu.) Autorem jego jest wychowaniec Szkoły Głównej a następnie Uniwersytetu warszawskiego — dr. Władysław Olechnowicz.

Jak tytuł wskazuje, treść dzieła stanowi rozwój cywilizacji ludzkości. Autor bada pomniki przedwiekowej cywilizacji minionych ludów, przechowane w ich literaturze, a te doprowadzają go do następujących wywodów:

Najpewniejszym świadectwem cywilizacji ludów są pomniki ich umysłowości, więc przedewszystkiem ich pojęcia o świecie, o moralności, — a jako wcielenie tych pojęć — ich religia, podania i ideały dziejowe. Badając owe pomniki dziejowe, zestawiając je ze sobą, autor widzi dwa różne pierwiastki wybitnie w nich występujące, z których jeden,

— Ach, mój dziadziu, więc już powiem, trzy razy powiem nawet: Kocham pana Alfreda, Kocham, Kocham! tylko nie kaźcie mi tego powtarzać, bo... to tak trudno wymówić.

Zawstydzona, rozplakana, padła w objęcia dziadka.

— No, uspokój się, dziewczeczko moja, otrzyj oczy i spojrzij na nas... dotychczas miałaś mnie jednego, teraz przybywa ci ktoś, co mnie z czasem zastąpi.

— Dziaduniu! nie mów tak...

— Dzieci moje, — rzekł pułkownik, ujmując Klarunię i Alfreda za ręce, co prawda nie spodziewałem się takiego obrotu rzeczy... Nie przypuszczałem nawet że do tego dojść może. — Lecz skoro wola wasza, podajcie sobie ręce i niech was przywiązanie jakie macie do siebie nie opuszcza już nigdy... Klarunia oczekiwać będzie, może nie bez tęsknoty — ale cierpliwie i wiernie — a ty, panie Alfredzie, idź i zarabiaj na miłość.

— O tak, tak, szanowny pułkowniku, na miłość panny Klary i na szacunek pański. Mam przekonanie że cel ten, jak gwiazda przewodnia świecić mi będzie w drodze życia, że po latach kilku przyjmiecie mnie tak jak...

— Jak syna — szepnął pułkownik.

— Tak, tak, to moje jedyne pragnienie, jedyny cel życia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

oparty na filozofii moralnej, występuje nieskażony w zasadach braminizmu; drugi, wręcz temu przeciwny, objawia się w podaniach i wierzeniach wielu ludów starożytności. — Przedstawicielami pierwszego są starożytni Aryowie, zamieszkujący w przedhistorycznych jeszcze czasach całą Azję mniejszą, i zbliżone do niej krainy Europy i Afryki; apostołami drugiego są czarne ludy wnętrza Afryki, które częściowo zalewając krainy przez Aryów zamieszkałe, mieszały się z tubylcami i dawały początek wielu narodom historycznym świata starożytnego, a w ich rzędzie Semitom.

Jakkolwiek kroniki ściśle historyczne nie zapisały dziejów owego najazdu, ślady jednak jego pozostały niewątpliwie w opowieściach ludów aryjskich, — a przede wszystkim u najczystszych ich szczepu — Aryów Indyj azyatyckich. W opowieściach tych, ludy aryjskie występują zawsze pod postacią gołębi, krów i tym podobnych; — najezdźnicy zaś i ciemiężcy noszą postać strzelca, węża lub drapieżnego zwierzęcia. Jedna tedy z tych opowieści wybornie odzwierciedla typ negra najezdźcy, który jako strzelec poluje na gołębie: „czarny jak kruk, o policzkach wystających, ustach szerokich i wielkiej szczęce: niema przyjaciół ani blizkich; nigdy nie zrobił nic pożytecznego; całe jego zajęcie polegało na zabijaniu istot żyjących, celem ciągnięcia zysków.“ Oto obraz negra.

Oprócz tych śladów najazdu pozostały jeszcze inne, niemniej ważne, we wniesionych między aryów pierwiastkach anti-cywilizacyjnych, które przechowały się w religii i literaturze ludów starożytnych. Autor szczegółowo przechodzi mitologiczne podania starożytności, wykazuje co w nich pozostało po Aryach, a co przybyło z czarnymi przybyszami, — i z kolei rozbiera części składowe biblii. Rozbiór ten naprowadza go na wniosek, że starożytni Hebrajczycy nie byli ludem jednolitym, lecz plodem najezdźców Negrów i kobiet Aryjskich, pozostałych po wycięciu mężczyzn przez pierwszych. Według tych wywodów tedy, żydzi są produktem skrzyżowania rasy białej aryjskiej z czarną murzyńską.

Zobaczmy teraz, jaka zachodzi analogia pomiędzy wywodami temi a teorią Vambery'ego.

Vambery utrzymuje, że Żydzi są z pochodzenia Tatarami. Czemże są ci Tatarzy znowu? Oto według d-ra Olechnowicza — potomkami Scytów, którzy są pierwszym produktem skrzyżowania Negrów z białą rasą pierwotną; wiele cech antropologicznych przemawia za tym wywodem. Tak, czy inaczej, i Żydzi i Tatarzy jednakowo powstałi ze zmieszania się dwóch ras pierwotnych ludzkości. — Różnica jest w tem tylko, że kiedy dr. Olechnowicz przypuszcza zlanie się dwóch pierwiastków w jeden naród na gruncie biblijnym, Vambery odnosi kolebkę żydów do innych zupełnie krain; obadwa zaś przyznają jednakie ich z Tatarami pochodzenie, nie godząc się tylko na stopień pokrewieństwa.

Nie sami wszakże żydzi są owym produktem mieszanym. Czarni przybysze i ich potomstwo wtargnąwszy przez Egipt do krain morza Śródziemnego, zamieszkałych pierwotnie przez Aryów, rozparli siedziby tych ostatnich. Jednych ujarzmiłi i złaziłi się z nimi, wydając w następstwie Hebrajczyków, Fenicyan, Greków i Rzymian; — innych wyparli za góry i lasy jużto na wschód, już na krańce północne i zachodnie stałego ladu; — i ci wygnańcy — Celtowie i Słowianie w Europie, a Indusowie w Azji, są przedstawicielami niezmięszanego z żadnym innym pierwiastkiem, plemienia starożytnych Aryów. — Co się tyczy szczepu germańskiego, powstał on, według d-ra Olechnowicza, ze zlania się jakiegoś odłamu Aryów europejskich ze Scytami, najbliższymi ich sąsiadami.

Wywody swoje opiera dr. Olechnowicz w części na cechach antropologicznych, rozmiarach, kształtach i stosunku wzajemnym różnych części składowych budowy ludzkiej, — w części, i to ważniejszej, na pomnikach umysłowości każdego ze szczepów. — Porównanie mytologii, podań, legend, wierzeń, ideałów, jakie każdy ze szczepów wniósł do dziejów, dostarcza autorowi bogatego materiału do logicznego popierania wniosków naukowych, przezeń wyprowadzonych, które przecież nie za pewniki, lecz za hipotezy podaje.

Jakkolwiek język przez dany naród używany, nie jest jeszcze dowodem pochodzenia tegoż narodu, potwierdzenie czego znajdujemy w zupełnem zniemczeniu ludności zachodnio-słowiańskiej, warto jeszcze w tem miejscu przytoczyć z pracy d-ra O. klasyfikację języków, należących do rodziny ludów indo-europejskich.

Podług autora, ojcem wszystkich języków tej rodziny jest język starożytnych Aryów, język Wedy. Z niego wytworza się w Azji, mianowicie w Indjach, sanskryt, a nadto język tak zwanego Indostanu. W Europie, język Pelazgów, mało różny od Wedy, przeobraża się pod wpływem zdobyw-

czych kolonij semickich, w język grecki. W północnej Europie język pierwotnych Aryów zmienia się pod wpływem Scytów, a później Gotów, w język germański, który znów rodzi język angielski. Aryowie wygnańcy, zaludniający Europę, którzy od wpływów obcych języków zdołali pierwotną swą mowę ochronić, są: Słowianie i Litwa w Europie wschodniej, a Gallowie i Bretonowie w zachodniej. Im bardziej wszakże ludy te oddalają się od źródła swej mowy i wiedzy, tem język ich staje się uboższym w wyrazy i formy. Ztąd też języki nowożytne o wiele nie wytrzymują porównania nietylko z sanskrytem, lecz nawet z uboższym odeń — greckim.

Tak tedy, według badań przywiedzionych, kraj nasz zamieszkują obecnie potomkowie dwóch różnych szczepów. Główną — tubylczą ludność — stanowią Słowianie, potomkowie starożytnych Aryów, z nad morza Śródziemnego przez półczarnych przybyszów — Semitów, niegdys wyparci; napływową zaś, czyli w czasach już stosunkowo niedawnych przybyłą, tworzą Żydzi, pochodzący, jak to widzieliśmy wyżej, ze zmieszania białych Aryów, nadśródziemnomorskich z czarnymi najezdźcami z głębi Afryki.

O ile słuszne są twierdzenia d-ra Olechnowicza, nie rozbieramy tutaj, pozostawiając czytelnikom ocenę pierwiastków cywilizacyjnych, jakie każda z tych ludności do skarbnicy życia narodowego wносиła i wноси, oraz ile pożytku społeczeństwo nasze od każdej z nich odbiera. Ocena ta pozwoli na oznaczenie jednej i drugiej ludności właściwego miejsca w dziejach rozwoju naszej cywilizacji, i zdecyduje o zasadności, lub jej braku, w wywodach autora.

H. W.

Listy z nad Niewiaży.

II.

Smutna to zaiste nowina, że na naszej świętej Żmudzi tyłu jest „marnotrawców, trwoniących krwawy dorobek ojców, a pomnażających nędzę i siejących zgorszenie“, że aż „marszałkowie szlachty znaleźli się w konieczności zjechań do Kowna w celu ułożenia projektu prawa, któreby ten stan rzeczy usunęło, nakładając jakiś hamulec“ na rzekomych marnotrawców.

Tak przynajmniej ogłosiły światu gazety warszawskie; a smutna — powtarzamy — byłaby to nowina, gdyby była prawdziwą i miała choć odrobinę racji.

Na szczęście tak nie jest.

Przedewszystkiem stanowczo twierdzą, że marnotrawców u nas niema. Przeciwnie, mieszkańcy tutejszych okolic pomawiani są o zbytnią może oszczędność, ze skąpstwem graniczącą, znani są z tego że poprzestają na małym, że wypuszczenie z rąk ojcowizny i wyrzeczenie się rodzinnego zagona należy do fomalnych prawie wyjątków. — To też marszałkowie szlachty, którzy rzeczywiście odbyli naradę w Kownie, ani myśleli, ani im się śniło o zaprojektowaniu nowego prawa, mającego się stosować do marnotrawców. — Nie myśleli o tem przedewszystkiem dlatego, że nie są żadnem ciałem prawodawczem i nie mogą nic zgodać w tym kierunku nietylko stanowić, nietylko projektować, ale się nawet naradzać; zwłaszcza gdy prawo obowiązujące o marnotrawcach istnieje i o zmianie jego ani mowy niema.

Marszałkowie naradzali się w Kownie na mocy upoważnienia władzy, o równomiernem ułożeniu listy podatków kontrybucyjnych, nie wedle przestrzeni danych majątków, ale tylko według rzeczywistej, realnej ich wartości i dochodów, jakie właścicielowi przynoszą. Kto więc w tej czynności dopatrywał się sprawy marnotrawców i lekkomyślnie o tem urbi et orbi ogłosił, temu niech ziemia lekką będzie.

Niech mi szanowna redakcja nie bierze za złe, że takie fałszywe wiadomości, powtarzane na szpaltach gazet warszawskich, prostuję, bo że ktoś sobie napisze iż u nas włókę lasu sprzedano po rs. 12,000, że w okolicach Poniewieża odkryto kopalnię soli, która wielickiej dorówna; że zagraniczne statki nie będą wchodziły do portu libawskiego, bo tu jest jakoby za ciasno, czy coś podobnego, — to jeszcze mniejsza; zresztą daj to Boże, ażebyśmy lasy nasze wysoko cenili i nie marnowali, niech bryłka naszej poniewieźskiej soli w skały się nieprzebrane zamieni, port libawski rozszerzony i pogłębiony będzie dla statków, ale nie dla... kaczek dziennikarskich.

To też mniejsza — mówimy — o to, ale głosić o marnotrawcach, którzy jakoby tak się rozplenić mieli, że aż wy-

jątkowych środków na to potrzeba, takich baśni słuchać w milczeniu niepodobna.

Ile razy potrącam o kwestyę leśną i wspominam o Libawie, tyle razy ciśnie się pod pióro... węgiel kamienny, który raz już przecie powinnyby wprowadzić w użycie nasze drogi żelazne i zaprzestać systematycznego tępienia lasów. — Nie jesteśmy bynajmniej za tem, ażeby sprowadzać jakibądź produkt z zagranicy; przeciwnie, radziłyśmy obywać się swoim i sobie wystarczać, ale węgiel kamienny dla naszych dróg żelaznych stanowi wyjątek, gdyż statki zagraniczne przywożą go do Libawy tanio, jeżeli do Petersburga dostawiają puł po 16 kop. Nikomu ten produkt konkurencyi nie zrobi, bo własnych kopalń węgla nie posiadamy, a lasy nasze położone blisko dróg żelaznych, ochroni od ostatecznej zagłady, która wyrwać musi przytem najszkodliwszy wpływ na zdrowotność i urodzaje, a biednym mieszkańcom zapowiada groźnie, iż w niedalekiej przyszłości, w czasie tęgich mrozów wynosić się chyba wypadnie, nie mając się przy czem ogrzać.

Nicbyśmy nie mieli przeciw opalaniu drzewem, gdyby to drzewo mogło być dostarczane do kolei z całego kraju; lecz że to jest niepodobniestwem, więc protestujemy i protestować będziemy głośno przeciw tępieniu lasów przykolejowych, gdyż taki porządek rzeczy grozi w przyszłości następstwami, które się naprawić nie dadzą!...

O tego rodzaju marnotrawstwie wartoby się naradzić i coś radykalnego przedsięwziąć.

A nadarza się ku temu sposobność. Wszak będziemy mieli w tym roku, jak i w latach poprzednich, wystawy rolnicze w Szawlach *) i Retowie, które odwiedzą nasi ziemianie chętnie, więc tutaj o kwestyi, o którą potrąciłem w tej chwili, wypadałoby szczegółowo pomówić. A kiedy już mowa o wystawach, to muszę zaznaczyć, że podana w gazetach warszawskich wiadomość iż nasze towarzystwo hodowli koni rasy żmujdzkiej zamienia się na towarzystwo wyszcigów konnych, odznacza się taką samą prawdą, jak i wiadomości te o jakich wspominaliśmy na początku niniejszego listu. — Jeżeli bowiem w czasie wystawy koni, będą wyszcigi en miniature, to przewodnia myśl o hodowli żmujdzkich koni i starania o podniesieniu tej hodowli, bynajmniej nic, absolutnie nic, na tem nie tracą. Będzie to tylko połączeniem pożytecznego z przyjemnym i nic więcej.

Na przeszłorocznym zjeździe przyrodników w Odessie wniesiony był referat obszernie traktujący o zakładzie kumysowym w Sławucie, w gubernii wołyńskiej. Rzeczoznawcy uznali że Sławuta pod względem położenia w miejscowości leśnej, suchej, na gruncie piaszczystym, tuż nad rzeką Horyniem, jest najodpowiedniejszą stacją sanitarną i kuracyjną. Obecnie hr. Plater w majątku swym pod Dynaburgiem, w pozycyi prześlicznej, leśnej i górzystej, nad rzeką Dźwiną, urządza zakład kumysowy. — Otóż porównując te dwie miejscowości (nie mówię o samym zakładzie leczniczym, bom go jeszcze nie widział) śmiało twierdzić mogę, że miejscowość pod Dynaburgiem bynajmniej Sławucie nie ustąpi, a nowy zakład na powodzenie liczyć może, zwłaszcza że w Dynaburgu schodzą się drogi żelazne: z Petersburga, Rygi, Libawy, Warszawy, Wilna, Kowna, Moskwy, Smoleńska, Witebska, Orła i t. d.

I u nas już wiosna, chociaż jak na północy wegetacya jeszcze w uspieniu, a roboty około roli zaledwie się rozpoczęły. To tylko jest charakterystycznym w naszym klimacie że z wiosną długo, bardzo długo, w początkach Maja, nie widać choćby jednego listka, lecz za to parę ciepleszych dni i ciepły deszcz sprawiają, iż wszystko w ciągu kilku dni rozwija się odrazu, i prawie niema przejścia od ogołoconego z liści drzewa, do ujrzenia go w pełnej i bujnej zieleni. Zasiwey ozime wyglądają obiecująco. Bo też i zima była niesłychanie łagodna. Na zastój w handlu zbożowym narzekać nie możemy. Nie jest u nas pod tym względem tak źle, jak gdzieindziej, bo też geograficzne położenie naszego kraju jest dogodniejszem. — Mamy sąsiednie Prusy i żeglugę po Niemnie, mamy Libawę i Rygę. Daj tylko Boże co najwięcej plonów.

Mikołaj Tys.

NA POSTERUNKU.

Z wędrówek po Warszawie. — Moja wizyta u pana Szaj S. — Rekomendacya. — Uwagi filantropa. — Pięć pokoi z fantami i dwa domy własne. — Pracowici i „obdartyści“ — Kwestye modne i kasy rzemieślnicze. — Chwile emocyi i chwile zapomnienia. — Alarm w „Izraelicie“ i pioruny w „Przeglądzie Tygodniowym“. — Wniosek p. Dzieduszyckiego. — Pierwsze pogromy chrześcijańskie. — Wymowa kilku cyfr. — Ostatni chłop w ostatniej chacie galicyjskiej. — „Ogniem i Mieczem“ w... cyrku.

Lubię odbywać wędrówki po syrenim grodzie i... gapić się niekiedy. W jednej z wędrówek takich, w dzielnicy położonej „nad Wisłą“, na froncie pokaznej, dwupiętrowej kamienicy, dostrzegłem imponujący napis: „Lombard prywatny“.

Chociaż, prócz ostatniego numeru „Izraelity“ z wymyślaniem na *Rolę*, nie posiadałem żadnego cenniejszego przedmiotu który mógłbym „zastawić“, chciałem przecież zwiedzić tę szacowną instytucyę — i w tym celu wszedłem na pierwsze piętro.

Pan Szaja S... który wśród warszawskiego „plebsu“ cieszy się mniej więcej taką samą popularnością, jak pierwszorzędni finansisci wśród „lepszych sfer towarzyskich“, przyjął mnie z miną protektora, pytając krótko:

— Co pan powie?

— Ja, panie łaskawy, — odrzekłem z możliwie miłym i uprzejmym uśmiechem — chciałem zwiedzić jedynie pański lombard i poprosić o pewne objaśnienia.

— A czy pan dobrodziej, — zapytał mnie już suchym tonem p. Szaja, — od te delegacye co rewiduje lombardów?

— Nie, panie, ja jestem współpracownikiem takiej gazety, która bardzo lubi i broni żydków, („Izraelita“ huknie na mnie zapewne, że podszedł żyda po... żydowsku.) gdy inne gazety piszą *klamstwa*, które mogą szkodzić ich interesom.

— Aaa... ja słuchał, co w Warszawie jest dzięki Bogu, dosyć takie gazety i takich pisarzy, co nam, biednym żydkom, nie dają żadne przikroszcz zrobic. To porządne panowie, uni to dobrze wiedzą, co jakby żydków nie było, to w całkie miasto, w całki kraj bułaby wielka bida; — ktoby dawał pieniędzy?

— Właśnie, łaskawy panie Szajo, i teraz są krzyki na lombardy prywatne, a ja chciałem napisać i wydrukować że to wszystko nieprawda, i że wy, panowie, dając pożyczki ludziom *najbiedniejszym*, jesteście prawdziwymi ich *dobrodziejami*.

— To sze wi, panie dobrodziej. Niech tylko pan dobrodziej obaczy co to u mnie te tałałajstwo nazastawiło różne rzeczów. A co to wsistko je warte? To tylko tak, bez miłosierdzia — ja daje pieniędzy tym różnym obdartydom.

To mówiąc, zacny filantrop otworzył drzwi sąsiedniego pokoju i oczom moim przedstawiła się owa braterska pomoc „dobroczyńców“ w takiej okazałości, w jakiej zapewne rzadko widzieć ją można. Pokój dosyć dużych rozmiarów, od podłogi do sufitu formalnie załadowany przedmiotami najrozmaitszego użytku i kalibru.

Paltoty, futra, tużurki i rozmaite inne części ubrania, zawiniątka z bielizną i sukienki kobiece lub dziecinne, chustki i okrycia, pościel, i obuwie, sprzęty kuchenne i narzędzia pracy, wszystko to tworząc mieszaninę równie chaotyczną jak mieszanina poglądów na sprawy ogólne, pewnych publicystów warszawskich, świadczyło zbyt wymownie, nietylko o filantropii pana Szaj, ale i o niezupełnie dostatniem położeniu właścicieli tej ciekawej kolekcyi... fantów.

— Czy to wszystko? — spytałem.

— Gdzie zaś wszystko! — Jest daleko więcej tych rupieciów.

I otworzył pan Szaja pokój drugi, otworzył trzeci, czwarty i... piąty. Pięć, wyraźnie *pięć pokoi* zajętych tylko pod zastawy i zapewnionych tylko takimi „rupieciami“.

— Widocznie u pana — zauważyłem zdziwiony tym oryginalnym widokiem — jest bardzo duży ruch interesów, skoro w tak krótkim czasie zgromadziło się już tak wiele zastawów. Wszak lombardy w Warszawie dopiero od lat dwóch istnieją.

— Jaktó? ja już 22 lat prowadzę tego interesu.

— Ależ, kiedy przed dwoma laty nie mogło być lombardów prywatnych i nie było ich wcale.

— Nu, tera to mam lombardu ze znakiem i z książkami a dawniej było bez znaków, bez książków i przez te delegacye — i było też dobrze.

— A jaki też pan procent pobierasz?

— Nu, rozmaicie, jak sze da — aby miecz ten kawałek chleba.

*) Według ostatnich, bogdajby fałszywych wiadomości, wystawa w Szawlach ma podobno tym razem nie przyjść do skutku. (przyj. red.)

— A ustawa?

— Jakto? pan dobrodziej nie wie, co w ustawie nie stoi nic o procenty i co to zostawione do woli?

— Ach, prawda — odrzekłem, — i już się zbierałem do wyjścia, gdy nie wiem zkąd przyszło mi zapytać p. Szaj ile też płaci za lokal tak obszerny?

— Ja, chwalicz Boga, nie płacę nic, bo to jest mój ten dom. I ten drugi co pan dobrodziej widzi napszeciwno to też mój dom.

— A, to jak widzę interes dobrze panu iść musi.

— Nu, co to dobrze? — a na co człowiek pracuje?

Miałem dosyć objaśnień, gdyż w tej chwili przyszły mi na myśl i „kasy rzemieślnicze“ i ta sympatya jaką je otaczano *na razie*, i wszystkie nasze deklamacje na temat „zabezpieczenia bytu klas pracujących“, i ten nasz zapal charakterystyczny, co błysnąwszy niby ogień błędny... znika ku serdecznej ucieście wszystkich naszych przyjaciół, wszystkich *pracowitych* Szajów, Moszków i Jankłów.

Nie chcę przesądzać co nam, krezusom (!) europejskim bardziej dzisiaj potrzebne: czy gmachy towarzystwa sztuk pięknych, czy instytucje pomocy dla... niedoli ludzkiej — Zdaje mi się jednakże, że gdyby druga z tych „spraw społecznych“ miała w setnej przynajmniej części tylu mecenasów i protektorów ilu ich ma pierwsza, to niezawodnie ani *zaczny* pan Szaja, nie musiałby pracować tak ciężko (!) na „kawałek chleba“, ani to „tałałajstwo“, jak on raczy nazywać swych klientów, nie potrzebowałoby oddawać pod zbawczą jego opiekę ostatnich poduszek z pod głów, lub ostatnich koszul z wychudłych grzbietów.

Lecz furda kasy rzemieślnicze! one wyszły już z mody. Nawet „Kuryerek Warszawski“, który w czasach pewnej emocji izraelskiej i pewnego... zapalu, wołał pysznie: patrzcie co my robimy — dziś zajęty bardzo: i wielką polityką i wielkimi zbrodniami, ani wspomni o tej sprawie *podręcznej*. Ba... dzisiaj i pan Prus, zapracowany znów gnębieniem „złych instynktów“ szlachty, kpunami ze skazanych na śmierć i wielu innymi ważniejszymi rzeczami, gotów jeszcze zwymyślać *Rolę* za jej „hallucynacje“ w sprawie własnego jego dziecka.

Przeto wolę i ja nad kwestyą zapomnianych kas rzemieślniczych przejść już do porządku dziennego, zwłaszcza gdy tak gwałtownie ciągną mnie w inną stronę dwaj przyjaciele moi: „Izraelita“ i „Przegląd Tygodniowy“.

Obydwa te organy jakby za danem hasłem, uderzyły na alarm i z obydwóch ich rycerskich piersi wyrwał się jeden okrzyk zgrozy. — *Hast du gewidziol* takie nietolerancje, takie barbarzyństwo, taką zaplesniałość — woła dziennik pana Peltyna. Toż to małościwość społeczna to zaciekłość ślepa antisemitów, — precz z nią nareszcie! wtoruje wódz semickiego ale tylko *semickiego* postępu. — Co się stało? spytaście. — Czy gdzie było żydo - trzepanie, czy znów „rozpruwano pierzyny“? — Uchowaj Boże. — Fakt się stał w Galicyi, a tam stosunki są już wprost przeciwnie. Tam już, jak świeżo w Tarnopolu, z okrzykami „abe!“ i „hopaj!“ panowie żydzi rzucają się na „gojów“, ukazując nam pierwsze błyski „pogromów“ chrześcijańskich. Co będzie dalej, przepowiadać nie chcę; sądzą przecież iż takie *vice-versa* szanownym liberałom semickim niezmiernie przypadłoby do smaku.

Otóż w Galicyi pan Izydor Dzieduszycki, jeden z tych widocznie „meżów“ którym lud tamtejszy zawdzięcza głównie swą niewolę hebrajską, domagał się przypuszczenia żydów i do najważniejszej instytucji włościańskiej: do ich kółek rolniczych (!). Trudno uwierzyć, iżby w myśli obywatela mógł się zrodzić aż taki zamach na wyssany już przecież dostatecznie lud galicyjski, a jednak jest to faktem niestety. — Szczęściem zamach ten był odbity przez jednego z najlepszych obywateli i prawdziwie (to jest uczciwie) postępowych ziemian. Pan Kazimierz Lange wystąpił z opozycją przeciw nieludzkiemu wnioskowi i tym to „objawem antisemityzmu“ poruszony do głębi starszy mistrz p. Adam, woła w swoim „Przeglądzie“: „Nietylko (Nr. 17) że żydów *uczciwych*, pragnących popierać cele kółek wiejskich, znajduje się dosyć (!), ale byłoby *pożytecznym* aby do kółek owych przyjmowano wiejskich *arendarzy* i *hatatników*.“

Przysięgam, iż ani jednego wyrazu nie zmieniłem w tej wspaniałej apostrofie „Przeglądu“. Brawo, brawo, panie Wislicki! „Żydzie zduś chłopca“, a wówczas dopiero zakwitnie w zmurzałem, zacofanem, sfanatyzowanym społeczeństwie, liberalizm prawdziwy!

I doprawdy, już i dzisiaj panowie Wisliccy mogą obwoływać zwycięztwo swych idei, według których dla dobra ludu Izraela, trzeba zniszczyć lud polski. Spójrzycie tylko na tych kilka cyferek:

Według nowych szczegółów jakie uczone lwowski dr. Pilat podaje, w jedenastoletnim okresie od r. 1873 do 1883, zarządziły sądy galicyjskie ogółem 23,237 licytacji posiadłości włościańskich, których wartość szacunkowa wynosi ani mniej ani więcej, tylko *dwadzieścia trzy miliony guldénów!* Miałoby nawet taki rezultat żydowsko galicyjskiej gospodarki nie zadawalniać szanownych inicjatorów przypuszczania żydów do kółek? Mielizby panowie Dzieduszyccy i inni wnioskodawcy dopóty propagować swój system „assymilacji“, dopóki chociaż jeden chłop będzie siedział w swej chacie? Ha, w takim razie, możemy podziwiać ich... „tolerancje“, lecz każdy obywatel uczciwy, każdy człowiek mający choć odrobinę uczuć ludzkich w duszy, musi przeklinać: albo ich czarną... kataraktę na oczach, albo ich pustkę w sercach i manię w głowach...

Nie ręczę czy kiedyś również i pan Sienkiewicz złorzeczyć nie będzie swym krytykom, za widoczne zamachy na jego literacką wziętość i sławę. Dzięki listom nadsyłanym z rozmaitych stron świata, dzięki odczytom, dzięki przedstawieniom żywych obrazów, telegramom i t. p. utalentowany ten pisarz wyszrubowany został na piedestał takiej wielkości, że jak to już ktoś zauważył, gdyby kiedykolwiek spadł z niego, mógłby się rozbić na miazgę. Wbrew twierdzeniu pewnych, choćby nawet „znakomitych“ krytyków, Sienkiewicz nie jest dotychczas Mickiewiczem, a jego piękna, ani słowa, powieść, „Panem Tadeuszem“ albo „Konradem Walenrodem“; mimo to przecież „Ogniem i Mieczem“ jest utworem zanadto wybitnego talentu, iżby dla podniesienia jego stron prawdziwie artystycznych, jego rysów szlachetnych, potrzeba było aż współdziałania kłownów w pantominach... cyrkowych. Miałoby sam autor innego być zdania i... aprobować ten dziwaczny pomysł? — Ha... jeżeli tak, to spieszmy na cyrkowe hece ze scen: „Ogniem i Mieczem“.

Kamienny.

Z ZAGONA.

(Dokończenie).

Od nasienia ziemniaków łatwe jest przejście do nasion buraków, a mamy właśnie przed sobą dość interesujące uwagi jednego z prenumeratorów naszych p. *Antoniego Sidorowicza* ze Starych Mostów (pow. berdyczewski).

Oto co o tak zwanych nasionach „świeżych“ buraków cukrowych Vilmorina pisze sz. korespondent:

„Plantując znaczne przestrzenie buraków do cukrowni potrzebowałem w r. b. 200 pudów oryginalnych nasion Vilmorina; cukrownia bowiem płaci mi od stopnia słodczy. — Siejąc zaś nasiona niemoczone *) położyłem za główny warunek, ażeby nasiona te były świeże — z ostatniego zbioru (1883 r.).

Z góry wiedziałem iż cena tych nasion musi być wysoką, i dla wybrania sobie też najdogodniejszych warunków, zwróciłem się do 6-ciu najbardziej renomowanych składów nasion w Kijowie z zapytaniem: „jaką sumę trzeba zapłacić za 200 pudów nasion oryginalnych Vilmorina z Veriéres w workach plombowanych — *świeżych*, z ostatniego (1883 r.) urodzaju“. W chwili komunikowania się ze składami nasion w Kijowie, odbieram Nr 18 „Ogrodnika Polskiego“ — ale o tem poniżej.

Pierwsza odpowiedź brzmiała: „ceny jeszcze niewiadome“ — 2-ga firma rekomendowała nie Vilmorina — ale Ewstafiewa (plantator nasion buraków cukrowych w gubernii kijowskiej) — 3-cia zalecała nasiona Mette z Quedlimburga — loco Holendry (st. dr. żel.) 5 1/2, 6, 6 1/2 rs. za pud; 4-ta i 5-ta oryginalne Vilmorina loco Kijów 8 1/2, i 12 rs.; 6-ta — własne Vilmorina — blanche ameliorée, loco Paryż, pud rs. 25 — nasiona od plantatorów Vilmorina, loco Paryż, 6.72.

O *świeżości* nasion, a mianowicie że są z ostatniego zbioru 1883, żaden ze składów w swoich odpowiedziach ani wspomniał, i ja też anibyś śmiał w moich pytaniach kłaść warunku *świeżości*, gdyby nie mój znajomy, wielki niedowiarek co do wszelkich autorytetów. Jest to dowód nieokrzesania, podejrzawać że od Vilmorina mogą wyjść nasiona nieświeże, lub od Wortha strój niegustowny! Dość jest zapłacić 30 rs. za pud nasienia (z transportem), żeby ci na polu, zamiast buraków wyrosły małe główki cukru (!) od 3 do 5 funtów. — Jeżeli zaś

*) Moczenie nasion przed siewem, w ostatnich czasach, w skutek praktycznych i teoretycznych prac znanych agronomów, wychodzi z użycia. (przyp. koresp.)

wyrośnie rzepa, lub burak najzwyczajniejszy — to wina już twojej nieumiejętności, nieudolny hreczkosiejn!

Dlaczego jednak w swoich odpowiedziach, składy nasion nie dotknęły kwestyi świeżości nasion? — Dlatego że o niej *nie wiedzieli* *). Dość wyrzec słowo: Vilmorin, żeby być pewnym iż nasienie pod każdym względem jest doskonałe. Dowód to, że ani sprzedający ani kupujący, produkuje nasion Vilmorina na miejscu nie badali, pomimo to, że dla cukrowarów Paryż nie „za górami“.

Na szczęście dość szczegółowy opis produkcji nasion Vilmorina znalazłem w Nrze 18 z r. z. „Ogrodnika Polskiego“ i opis ten wraz z listem niniejszym załączając, proszę o jego, (celem szerszego rozpowszechnienia), pomieszczenie w *Roli*.

Oto co pisze pan Jankowski w sprawozdaniu swoim „Z Paryża i okolic“:

„Z Bourg la Reine niedaleka droga do Verieres, siedziby Henryka Vilmorina, głównego dziś właściciela handlu nasion, wielce sławnego na świecie całym, jeżeli nie z czego innego to z nasienia buraków cukrowych.

Z wielką ciekawością zdążyłem do Verieres, pragnąc porównać francuską hodowlę nasion z niemiecką, którą już znałem z Erfurtu i Quedlimburga. W Massy (najbliższa stacya) wysiadłszy z wagonu, wdrapuję się na wierzch omnibusu, dla poznania okolicy i jadę wiorst parę wśród łąnów zboża i grzęd kartofli, poprzedzielanych szeregami drzew. — Szosa wyborna, krajobraz piękny. Tak dojeżdżam do jakiegoś muru. „C'est ici“ mówią mi. Zsiadam, dzwonię i dostaję się do obmurowania, obejmującego około morga gruntu pod kwiaty zajętego. A gdzież obszary wasze, na których produkują się miliony kilogramów nasion? Na to pan Bourderiaux, szef całej hodowli, odpowiada mi, że mają jeszcze w Verieres kilka lakich kawalców jak ten, razem morg naszych kilkanaście — i koniec. Żądam objaśnień, i oto czego się dowiaduję.

Ziemia pod Paryżem jest zbyt droga i obsiadła *), żeby w ręku jednego posiadacza można było kupić znaczną jej przestrzeń; gdyby zaś to miało miejsce, to hodowla nasion na wielką skalę, opierająca się na tanioci robotnika, upaśćby musiała.

Robotnik jest dobry, ale mniej niż 4 franki dziennie nie bierze, a jeżeli coś więcej umie, to zapłata dzienna podnosi się do 7 i wyżej franków. Sprytni francuzi urządzili się zupełnie inaczej.

W Verieres, na tej nieznaczonej przestrzeni, zakład produkuje nasiona *wyłącznie na swoją potrzebę*, dokładając do tego wszelkich starań, żeby one były możliwie dobre. — Te nasiona daje hodowcom rozsiąnam po całej przestrzeni kraju, którzy dla Vilmorina produkują nasiona na wielką skalę, i dostarczają ich w ilościach z góry zamówionych.

Nasiona takie w handel nie idą wpraw, zanim nie zostaną wypróbowane, to jest z każdego gatunku bierze się próbki i wysiewa je w Verieres, gdzie też można widzieć 200 do 300 linii grochu, każdą z innej odmiany lub od innego hodowcy, podobnie kapusty, buraków i t. d. Dopiero, gdy się pokaże, że nasienie wydało rośliny o pożądanach przymiotach, idzie ono na sprzedaż. *)

Tym sposobem niema u Vilmorina nasion *świeżych*, o które właśnie wszyscy się ubiegają. Owszem, jeżeli zbiór chybi, bez skrupułu sprzedaje się nasiona *3-letnie i starsze*, ale zato pewne (?), bo wypróbowane. System taki ma swoją niedogodność, że kiełkowanie jest słabsze, ale rezultat może być dobrym, przyznajemy.

Na potwierdzenie tego, co mi opowiedziano, służyły próby widziane w Verieres i składy nasion w Paryżu, pełne nasion, chociaż to był dopiero Lipiec.“

Nie miałem zamiaru, kończy pan A. S., dyskredytować żadnej z firm krajowych: szło mi tylko o prawdę, a zarówno moja korespondencya ze składami nasion, jak i przytoczony powyżej artykuł „Ogrodnika Polskiego“, przekonały mnie:

- 1) Że firma Vilmorina własnych nasion buraków cukrowych niema, ani *świeżych* nigdy w handlu nie bywa — i
- 2) Że takimi plantatorami Vilmorina możemy być my sami.“

*) Już po napisaniu niniejszego listu doszedł mnie 291 Nr „Wiek“ w którym znajduję ogłoszenie W. Dolińskiego o sprzedaży oryginalnych nasion Vilmorina z r. 1882. — Pierwszy raz spotykam w handlu *nieświeże* nasiona Vilmorina. (przyp. koresp.)

*) W Bourg la Reine, odległem o milę od Paryża, metr kwadratowy kosztuje 2 franki — a więc nasz 300 pretowy morg (1/2 hektara) wypada 12,000 franków, czyli około 4,800 rs. i to w polu, nie w mieście.

*) Więć *własne Vilmorina na sprzedaż* nie idą! (przyp. koresp.)

Tej treści list p. Sidorowicza, pomieszczamy bez wszelkich z naszej strony uwag. Nie wąpimy przecież iż podniesiona tu kwestya zostanie przez interesowanych bliżej wyjaśnioną. Jest to pożądanem i koniecznem nawet.

Z listów do „Roli“.

Urodzajność ziemi podolskiej. Jedno z pism rosyjskich podało wiadomość o urodzajności w gub. podolskiej, powtórzoną i przez dzienniki nasze, wedle której średni urodzaj pszenicy na jednej dziesięcinie daje 161 rs.; rzepaku 130 rs; kukurydzy 132 rs. i buraków 216 rs.; po strąceniu zaś wydatków wypada, że dziesięcina zasiana pszenicą, daje czystego zysku rs. 100; dziesięcina rzepaku rs. 85; kukurydzy rs. 88 i buraków rs. 145. Jeżeli zatem — jak wnioskuje rzeczzone pismo — dziesięcina ziemi w gub. podol. kosztuje mniej więcej rs. 150, to dziwnem ma się wydawać, dla czego nowonabywcy majątków w tym kraju, nie gospodarują korzystnie, a dawni narzekają na ciężkie czasy rolnicze i ciężkie warunki gospodarstwa rolnego w ogóle, skoro dwuletni dochód wraca wartość majątku?

Dla tego — odpowiadam — że takich dochodów ziemia tu u nas nie przynosi; jeżeli zaś zdarzy się wyjątkowo coś podobnego, to chyba na jakich kilku dziesięcinach w majątku, zysk przecież taki bardzo niewiele wpłynąć może na dochód ogólny i ani ciężkich czasów rolniczych nie złagodzi ani też „ciężkich warunków gospodarstwa“ nie usunie.

Ażby twierdzenie powyższe poprzeć przykładem, biorę pierwszy lepszy majątek w okolicach przypuścmy Proskierowa, Baru, Zwańczyka, Józefpola, Hajsyna, Winnicy. Oto pewien rolnik dzierżawi folwark, posiadający ziemi ornej i sianożęci 2000 morgów. Ziemia to notabene prawdziwie egipska, a fabryka cukru o 16 wiorst oddalona. Pomijam tę okoliczność, że w pierwszym roku, wzięwszy majątek po żydzie, z zasiewami i uprawą roli, dopełnionemi istic po żydowsku, dzierżawca nie miał nic, tak dalece, iż zaledwie opłacił służbę folwarczną i przekarmił inwentarz; pomijam i to, że w drugim roku przyszła niesłychana posucha i zboże zniszczyła. — Zaznaczam atoli tę smutną ewentualność dla tego, że dwa lata nieurodzaju ciężko zaważa na 12 letniej dzierżawie, nawet w takim razie, jeżeli wszystkie lata następne będą od podobnych klęsk wolne i wyjątkowo pomyślne. Takim właśnie rokiem był dla naszego dzierżawcy rok trzeci i oto notujemy rezultaty.

Zebrało: pszenicy kóp 3,500; żyta kóp 1,000, jarzyny kóp 700, w tej liczbie prosa kóp. przeszło 1000 i buraków na stu morgach 13000 korcy. Urodzaj jak widzimy znakomity, a i ceny naówczas przypadły wcale dobre. To też dzierżawca otrzymał: za 2300 korcy pszenicy (wydajność skąpa) rs. 13800, za 600 korcy żyta rs. 3000, za 2000 korcy owsa rs. 4000, za jęczmień, prosa, groch i t. d. rs. 5000 i nakoniec za buraki rs. 12,500, ogólnie otrzymał brutto rs. 38,000! czyli, że jeden morg przyniósł dochodu brutto rs. 19. Teraz policzmy wydatki: roczna tenuta dzierżawna rs. 10,000, sam tylko zbiór zboża i buraków i dostawa tychże do cukrowni rs. 7490. Utrzymanie służby folwarcznej rs. 3000. Nie licząc więc wydatków innych pomniejszych i procentu od kapitału wkładowego jaki jest w inwentarzu roboczym (sztuk 150), w narzędziach rolnych i t. d. wypadnie, że wydatki w ogóle przejdą daleko po za połowę wykazanego dochodu, czyli że dzierżawca w roku wyjątkowo pomyślnym otrzymał netto rs. 15,000, a zatem po 7 1/2 rs. z morga. — Wzięwszy atoli ten rok pomyślny w połączeniu z dwoma latami nieurodzaju, w rezultacie wypadnie albo zero, albo też pewna strata.

Tak więc jeżeli w ciągu 12-letniej dzierżawy będą tylko dwa lata nieurodzaju, to dzierżawca potrzebuje dwóch lat wyjątkowo pomyślnych, prawdziwie rzadkich, ażeby straty powetować i coś zyskać, na rachunek procentu od kapitału wkładowego, oraz coś z wynagrodzenia za ciężką swoją pracę. Jeżeli zaś nastąpią lata średnie i ceny, jak obecnie, spadną, to ostateczne rezultaty będą bardzo ograniczone, czyli że dzierżawca zapłaciwszy 5 rs. od morga, przy coraz wzmagającej się drożyznie robotnika, niesłychanie drogiej opłacie za wszelką dostawę po drogach niemożliwych do przebycia, i w razie potrzeby przy posiłkowaniu się kredytem bankierów małomiasteczkowych, owych „pająków jadłowitych“, taki — powiadamy — dzierżawca, chyba się milionów nie dorobi, bo ziemia podolska jakkolwiek bardzo urodzajna, przy najprawdopodobniejszym nawet gospodarstwie, nigdy w ogólnej masie nie przyniesie takiego dochodu, jaki wyliczyło pi-

smo wspomniane, przyjmując urodzaj tylko średni. Są to sobie przewidywania agronomów sui generis, którzy w każdej kwestyi głos zabierają, a nawet ziemi nie przepuszczają.

M. S.

Z Opoczyńskiego. Jako przyczynek do obyczajów ludu naszego przesyłam niniejszą wzmiankę o jednym z obrzędów, z opisem którego nigdzie się nie spotkałam, a który tutaj w opoczyńskim, z większą ścisłością niż w innych miejscowościach kraju naszego, jest dotąd przez włościan zachowywany.

W Wielki wtorek na obszernym placu gromadzą się oddzielnie wiejskie dziewczyny i oddzielnie parobczaki. Jeden ze starszych włościan podprowadza do parobków pojedynczo dziewczuchy, jakoby na targ i mówi: „a co dacie za tę jałoweczkę?” Rozpoczyna się rodzaj targu a raczej licytacji między parobkami, z których najwięcej dający kupuje dziewczynę za kilka dukatów i wypłaca zaraz na ręce sprzedającego... w postaci groszy. — Składka ta ogólna ze sprzedaży dziewcząt służy na poczęstunek w karczmie. Kupiona niby to dziewczyna, swojemu panu parobczakowi za to że ją wybrał, ofiarowuje przyniesione w fartuchu pisane jajka tak nazwane kraszanki, których liczba dochodzi często i do pół kopy, a następnie on znów, wywdzięczając się za to, kupuje jej podarek na pierwszym jarmarku, t. j. chustkę, paciorki, korale, lub coś podobnego, w miarę wartości i przymiotów ocenionej przez niego „jałowki“.

Ceremonia ta zdaje się być zabytkiem z czasów pogańskich, a może być że kiedyś stanowiła nawet ceremonie ślubną.

Wspomniałam wyżej o pisanych jajkach (kraszankach). Nie wszystkim może wiadomo co to jest. Otóż dziewczyny wiejskie przyrządzają owe „kraszanki“ w sposób niebardzo od wykonania łatwy. Na skorupie surowego jajka lebkim od szpilki maczanym w rozpuszczonym wosku, wyrabiają fantazyjne desenie. po „wypisaniu“, jak się tu wyrażają, których, gotują się jajka w odwarze traw, liści, korzeni lub też bryzeli, nadających powierzchni ich rozmaite ciemne lub żywe kolory; desenie zaś wyrobione woskiem, pozostają na tem tle w barwie jasno-żółtej lub białej.

Kilka okazów z deseniami odręcznymi, którychby się nie powstydzili niejedni malarz pokojowy, przesyłam sz. redakcyi dla okazywania ciekawym, przy włożeniu co łaska do puszki dla biednych.

Felicja Ar...

KRONIKA BIEŻĄCA.

KRAJOWA.

„Gazeta Świąteczna“ na uczynioną przez nas w N-rze 16 *Roli* w najprzeżytszej i najżyczliwszej formie, interpelację a nawet prośbę o wskazanie nam tych numerów tejże „Gazety“, w których jak twierdziła poprzednio, były pomieszczone artykuły, traktujące spokojnie i uczciwie, lecz jasno i wyraźnie stosunek żydów do ludności wiejskiej, odpowiedziała w tonie wysoce niewłaściwym i jej samej ubliżającym, iż „to rzecz niemożliwa z powodu braku miejsca i czasu“. Skarżąc się zaś iż *Rola* od lat trzech (choć wychodzi dopiero rok drugi) usiłuje szkodzić (!) w imię jakiejś konkurencji (??) „Gazecie Świątecznej“, redakcyja tegoż pisma dla rozstrzygnięcia sporu, żąda „sądu honorowego“. W obec tych zarzutów i wobec tej odpowiedzi, jaką wyżej zacytowaliśmy dosłownie, nie pozostaje nam jak pomieścić obiektywny i szczegółowy rozbiór „Gazety“, czego też, dla wykazania tylko szczerzej prawdy, nie omieszkamy uczynić.

Co zaś do „sądu honorowego“, to doprawdy nie wiemy, czemu w tem żądaniu bardziej się dziwić: czy naiwności kaprysu, czy zarozumiałości pożytecznego bez kwestyi pisarza, który jednak przywykły do słuchania pochwał i tylko pochwał, nie znosi już widocznie najmniejszej opozycji i nie uwzględnia ani jednego słowa najżyczliwszej nawet krytyki.

Sądy honorowe mogą rozstrzygać spory tylko osobiste, lecz nigdy nie mogą być dość kompetentne w kwestyach polemiki zasadniczej o kierunki i dążności pisma. Wprowadźcie redaktor „Gazety Świątecznej“ nie mając widocznie innego sposobu wybrnięcia chciałby koniecznie polemikę o zasady sprowadzić na grunt osobisty, lecz uprzedzić winniśmy, iż mu się to nie uda. — Oświadczamy bowiem kategorycznie, iż jakkolwiek redaktor „Gazety Świątecznej“, podobnie jak to czynią pewne inne pisma warszawskie, odmówił pomieszczenia nawet *płatnego* anonisu o tendencyach *Roli*, jakkolwiek w odpowiedzi na najgrzeźniejszą interpelację nazwał nas „spekulantami“, „handlarzami“ etc. (co to za budujący takt, wymyślanie takie w piśmie ludowem!) nie mamy przecież o to do

niego najmniejszej pretensyi osobistej, i to chwile wyryków, czy chwile zapomnienia, przebaczymy mu najzupełniej, z uwagi na jego pożyteczną z innych względów, działalność.

Z drugiej jednakże strony, obok sympatyj i życzliwości najszerszej dla pisma ludowego, a raczej z powodu tej życzliwości, mamy prawo domagać się, iżby pismo przeznaczone dla ludu nie pomijało rzeczywistych i najżywoźniejszych interesów ludu, iżby lud ten ostrzegało o istotnem niebezpieczeństwie, jakim w stosunkach jego moralnych i materialnych grozi mu kasta handlująca, iżby wreszcie, powtórzmy raz jeszcze, wskazywało mu w sposób uczciwy, nie podburzający broń Boże, praktyczne i legalne środki obrony. To znów jest żądanie nasze, którego bynajmniej nie myślimy się zrzekać. Czy zaś w żądaniu tem jest słuszność lub jej niema, pod tym względem sąd *bezstronnej*, nieżydowskiej i niejudofilskiej opinii publicznej, wystarczy nam najzupełniej.

Dla ziemian. Niedawno w „Tygodniu“ piotrkowskim a następnie w „Wiek“ była pomieszczona korespondencyja, zawierająca ciekawe rzeczywiste rzeczy o pertraktacyach pomiędzy ziemianami plantatorami kartofli a panem W. A. Scholtenem, właścicielem fabryki syropu kartoflanego w Piotrkowie. Mianowicie, po postawieniu przez rolników warunków takich któreby ich broniły od eksploatacyi i w obec których nie byłiby zmuszeni dopłacać przynajmniej do kosztów swej produkeyi, pan Scholten odpowiedział groźbą, iż jeżeli ziemianie nie cofną swych warunków i nie zgodzą się na te jakie on postawił, wówczas nie będzie wcale potrzebował od nich kartofli, a fabrykę zburzy (!). Otóż wobec tej groźby, jesteśmy proszeni o zwrócenie uwagi interesowanych plantatorów, iż w tejże samej gubernii, w powiecie Brzezińskim, w odległości 10 wiorst od Łodzi i 19 wiorst od stacyi Rogów drogi wiedeńskiej, znajduje się takż sama fabryka mączki kartoflanej, której właściciel, pan S..., polak, człowiek zany i znany dobrze w kołach obywatelskich, pragnąłby przez utworzenie spółki jaką stanowićby mogli i sami plantatorowie kartofli, rozwinąć swoje przedsiębiorstwo. Fabryka ta, zarządzana kompletnie, istnieje od roku 1879, a szczegółowy jej opis wraz z obliczeniami jej produkeyi i dochodów jakie czynić może, dokonany na podstawie opinij specjalistów, jesteśmy w możności zakomunikować, każdemu z zainteresowanych ziemian i tych mianowicie, którzy warunkom owego pana cudzoziemca nawet pod groźbą (!) rozwalenia fabryki poddaćby się nie chcieli.

Wybory. W dniu 28 Kwietnia r. b. odbyły się w Warszawie pierwsze wybory do władz Tow. Kred. Ziemsk. Rezultat był następujący:

Do komitetu wybrany został p. Biesiekiński Włodzimierz, właściciel dóbr Płowce, głosów 178. Do dyrekcji głównej pan Jan Paweł Łuszczewski, właściciel dóbr Pencice, głosów 176. Do dyrekcji szczegółowej p. p. Sokołowski Władysław, właściciel dóbr Wola Biejkowska, głosów 129. Rzętkowski Adolf, właściciel dóbr Studzieniec, głosów 124; Łaszczyński Ludwik, właściciel dóbr Staniszczyce Większe i Przeclaw, głosów 114. Na prezesa przyszłych wyborów p. Górski Jan, głosów 89, na zastępcę Sokołowski Michał, głosów 52.

Zebrani na ten akt wyborczy ziemianie usłyszeli urzędownie im ogłoszoną wiadomość, iż kwestya nowych pożyczek z mnożnikiem 80 jest blizką urzeczywistnienia, i że najdalej we wrześniu r. b. zostanie w czyn wprowadzona.

Z ogólnej liczby 1,015 stowarzyszonych z gub. Warszawskiej było obecnych na zebraniu 220.

Bibliografia. Pan Kazimierz Pronyk wydał znowu prawdziwie pożyteczną książeczkę p. t. „Stopniowe opisanie świata, obmyślane i ułożone w krótkości, zaopatrzone w wiele obrazków i mapek“. Przystępna cena książeczki (kop. 15) powinna być niemnąż przyczynić się do jej rozpowszechnienia.

Nakładem księgarni Lesmana i Świszczowskiego wyszła nowa metoda czeska, pomysłu p. Pawła Byczkowskiego, p. t. „Sposób nauczania się po czesku w 18 lekcjach“. Pożyteczne to dziełko radziłyśmy szczerze polecić tym wszystkim, którzy z literaturą pobratymców naszych chcieli się zapoznać, a którym brak znajomości języka czeskiego staje na przeszkodzie. — Metoda pana B. oparta na doświadczeniu autora i wypróbowana już przez niego w praktyce, w usunięciu przeszkody tej nie robi im zawodu.

Nakładem K. Bartoszewicza opuścił już prasę zeszyt 4-ty „Perł humoru polskiego“.

Odczyty prof. Spasowicza na rzecz warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności gromadziły w sali ratuszowej nader liczną publiczność. Żałujemy, iż w piśmie naszym, poświęconem głównie sprawom społecznym, nie możemy przeznaczać zbyt wiele miejsca na obszerniejsze sprawozdania literackie; nadmieniamy więc tylko, iż prelekcjom rzeczonym, które zresztą ukażą się w całości w „Ate-neum“, publiczność i prasa oddają prawie jednoznacznie wielkie pochwały.

„Znakomite romanse“. I p. Breslauerowi, znanemu (!) wydawcy skandalicznych romansów i pewnym pismom żydowsko-liberalnym, przybył nowy współzawodnik. Jest nim starozakonny wydawca, niejaki p. Olawski, którego plód wydawniczy leży wła-

śnie przed nami. Jest to, jak opiewa napis na okładce „Znakomity romans“ pod tytułem „Katarzyna Cornaro, piękna królowa Cypru, czyli ofiara inkwizycji weneckiej“. — Utwór ten śmietnikowej literatury niemieckiej wychodzi zeszytami, a ten właśnie jaki mamy pod ręką obejmuje takie efektowne rozdziały: „Mord podczas karnawału“, „Przekleństwo ojca“, „Hyeny Lagunów“, „Gondola śmierci“, „Taniec szkieletów na placu św. Marka“, „Zasłona kata“, „Siepacze inkwizycji ścigający królowę“, „Połączeni w objęciach śmierci“ i t. d. Jeżeli dodamy, że wydawnictwo to, wspomniany izraelita, p. Olawski, rozpowszechnia pod osłoną dodawanych bezpłatnie do każdego „utworu“ oleodruków wyobrażających „Chrystusa w cierniowej koronie“ i „Matkę Boską Bolesną“, jeżeli nadmienimy przytem, że za zeszyt obejmujący zaledwie 32 stronic druku wydawca każe sobie płacić 20 kopiejek, iżby za to pieniądze ludności biednej i mniej oświeconej, dawać jak najwięcej takich „znakomych romansów“ to w obec samych tych faktów wszelkie już komentarze wydadzą się zbyteczne. Co jednakże jest dziwnem, to że o tej tak *zacnej* spekulacji starozakonnych wydawców, pisma i pisemka nasze milczą jako dyskretnie. Czy to także w imię zgody i... tolerancyi?

Ogólne posiedzenia w Banku Dyskontowym trwały niecałe pół godziny, a wybory członków zarządu dopełnione zostały przez... aklamacją. Co to za jednomyślność i zgoda w tych prywatnych bankach warszawskich!

Statystyka. W gubernii Warszawskiej znajduje się 21,157 robotników fabrycznych i z pomiędzy nich w ostatnim dziesięcioleciu uległo nieszczęśliwym wypadkom 2,605, to jest osma część wszystkich pracujących.

Pożyczka miejska. Zapisy na pożyczkę kanalizacyjną d. 28 z. m. otwarte w Banku Polskim, poszły tak pomyślnie, iż suma 1,300,000 żądana przez miasto nie tylko została pokrytą ale dziesięćkroć przewyższyła tę kwotę. Konieczną więc jest repartycja pożyczki.

ZAGRANICZNA.

Z pracowni Matejki. Szereg arcydzieł upamiętniających chwałę dziejową większa Matejko znów jednym więcej dziełem. — W chwilach wolnych od malowania obrazu „Joanna d'Arc“, któremu w ostatnich czasach mistrz oddał się z całym zapamiętaniem, pracuje obecnie nad „Zamoyskim, biorącym do niewoli Maksymiliana pod Bieczyną“. — Obraz ten zamówiony przez J. hr. Zamoyskiego, ma 3 metry długości, a do 2-ch wysokości. Prócz tego w pracowni znajduje się jeszcze jeden utwór. Oto pod wpływem uroczystego obchodu świąt wielkanocnych wyszło z pod pendzla artysty dzieło pełne natchnienia „Zmartwychwstanie Chrystusa“. Obraz malowany jest na drzewie, wysokość 1 metr.

Zaburzenia... antychrześcijańskie. W Tarnopolu, w Galicji z powodu nakazu wykonywania powinności drogowej (szarwarkowej) tłumy ludności żydowskiej napadły domy tamtejszych radnych miasta, a komisarza starostwa, p. Zawadzkiego, i wielu innych mieszkańców chrześcijan, pragnących perswazyą uspokoić wojownicze te zapędy Izraela, tłum obrzucił gradem kamieni, raniąc przytem kilkanaście osób. Dopiero wezwane wojsko przyprowadziło wybrany łudek do porządku. Mieliśmy więc zaburzenie... anti-chrześcijańskie.

Z Rzymu. Ojciec św. ma powołać po kolei znakomitszych biskupów, celem rozpatrzenia się w sprawie opuszczenia Rzymu.

Z Londynu. W całej Anglii rozpoczęły się metingi i konferencje, celem popierania sprawy udzielania praw wyborczych kobietom. Opozycja, zarówno jak irlandczyli sprzyjają temu wnioskowi. Głową ruchu jest panna Lidya Baker, po za którą stoi duchowieństwo liczące na to, iż przez kobiety będzie mogło wywierać silniejszy wpływ na wybory. — Obliczono, iż kobiety byłyby we wszystkich okręgach wyborczych w większości. (!)

SPRAWOZDANIE HANDLOWE.

1 Maja 1884 r.

Bardzo niekorzystnie przedstawia się tydzień miniony dla waluty rosyjskiej. Zbyt wielkie przygotowania na zbyt małą pożyczkę i tej ostatniej niezbyt przyjazne warunki rozpoczęły ruch zniżkowy a regulacja końcomiesięczna dopełniła go. Ostatecznie płaca za 100 rs. w Berlinie 208.25 m, co w porównaniu do wysokiego kursu 211.25 jaki mieliśmy przed dziesięcioma dniami przedstawia wielką zniżkę.

Stosownie do tego i u nas zwyczaj kursów walut obcych była znaczna. Za 100 m. żądano 48.25 w wekslach długoterminowych i 48.17 w krótkoterminowych, za 1 f. st. 9.81, za 400 fr. 39.15, za 100 fl. 81.30.

Obniżka kursów wartości rosyjskich w Berlinie z jednej, a pożyczka miejska kanalizacyjna która nawiasem mówiąc blisko dziesięć razy pokrytą została, z drugiej strony wpłynęły na zmniejszenie ruchu papierami a ztąd i obniżyły ich kursa.

Listy likwidacyjne 87.50, 87.40 wele wielkości odcinków. Pożyczka wschodnia 93 w żądaniu.

Listy zastawne ziemskie bardzo nisko. Za A seryi I tylko 99 żądają, B 98.80, małe 98.70 — bez kupujących.

Listy miejskie najlepiej się jeszcze trzymają: 96, 94, 93.75 i 92.80 — Łódzkie 85.75, 85, i 83.65.

Akcyje również bez ruchu. Kursa prawie niezmienione. W tygodniu minionym odbyło się zebranie ogólne banków dyskontowego i handlowego. Pierwszy wydzielił dywidendy $9\frac{3}{5}$, drugi $9\frac{2}{5}$ %.

Na targach zbożowych zagranicznych sytuacja niezmienną.

U nas po świątecznej ciszy przez dni parę panowało dosyć wielkie ożywienie. Kupowano chętnie tak pszenicę jak i żyto i ceny podniosły się nieco. Ostatecznie na wyższym nieco niż przed tygodniem poziomie, zatrzymano się wyczekując w pozycji obronnej: sprzedawcy silnie się przy cenach trzymają, kupujący ociągając się i ograniczając do koniecznych tylko tranzakcyj.

Na stacyi Praga, drogi terespolskiej płacono za pszenicę 115—148, za żyto 95—108, jęczmień 105—114, owies 90—105 kop. za pud. Gryka 90—101, groch 115—125.

Na placu Witkowskiego pszenica dochodziła do 9.75 a nawet 9.80 za korzec. żyto 6.60 do 6.70 — rozumie się za gatunki bardzo dobre, średnie niżej, gorsze zupełnie zaniedbane.

Rynek cukrowy ożywił się znacznie w tym tygodniu.

Płaca za rafinadę 3.85 kop. za kamień, mączkę do 3.30 przy chętnym kupnie.

Na rynku wełnianym spokój i cisza zupełna. Interes kontraktowy nie rozwija się, tembardziej, iż kurs rubli jest ciągle stosunkowo za wysoki a przewidzieć niepodobna co na tem polu dominować będzie w chwili zbliżającego się już jarmarku.

Skóry obniżają się w cenie. Za funt skóry nieoczyszczonej płacili w tygodniu minionym od $12\frac{1}{2}$ do $15\frac{1}{4}$ kop. stosownie do ciężkości całej sztuki, skóry oczyszczone o 1 kop. drożej.

Skorki cielece warszawskie 2.40 do 3.60 za parę, prowincjonalne bez dowozu.

Targ na bydło nieruchomy.

Na targach żywnościowych ceny wszystkich artykułów pozostają niezmienione z małemi tylko różnicami.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Al. M. w Warszawie. Dziękujemy uprzejmie; będzie w przyszłym numerze.

Prenumeratorowi. — Szczerze dzięki za „wypis“, z którego jeżeli nie w całości, to w części przynajmniej nieomieszkamy skorzystać.

P. A. Zak. z pod Korca. Takie „pagadanki“ i z takimi faktami nie idą u nas „do kosza“. Owszem, poniesiemy je częściowo w rubryce „Z listów do „Roli“; o wiadomości łaskawie przyobiecane najuprzejmiej prosimy.

P. St...n w Warszawie. Dziękujemy za zwrócenie uwagi na kwestye istotnie godne podniesienia. Niektóre z nich podejmie *Kamienny* w „Postęunku“.

P. A. Olech. w Trzesz. Owszem, prosimy bardzo o rozdanie numerów, dziękując zarazem za poparcie.

Semicie Nr. 2. Nic a nic nie rozumiemy co znaczy pański protest który, wierząc pan, nie tylko nie „bodzie“ ani „kłóje“, ale wywołuje uczucie litości dla nędznych tchórzów, uniejących strzelać tylko... z za płota. Pisze sobie pan dalej swoje wymyślenia na *Rolę* do „Przeglądu“ i „Prawdy“, „u których masz powagę“ (!), a nas zostaw w spokoju. — Semitów w kraju jest już około miliona niestety. Dlaczegoż więc tylko pan jeden miałbyś używać tego „podpisu“ w godnych was wszystkich anonimach.

OFIARY.

Na fundusz pomocy dla kształcącej się młodzieży.
p. M. Kl. za miesiąc Marzec i Kwiecień rubli 10.

RS. 10. KROJ SUKIEN RS. 10.

Gruntowna nauka Kroju Sukien damskich, podług zasad słynnego modelisty w Paryżu Vortha, w zakładzie **A. GAŁECKIEJ**, za pomocą tylko jednego centymetra.

Książka za kop. 75 za pomocą której można się nauczyć krajając i szyjąc suknie, pod tytułem: **Wykład Nauki Krojów, Strojów, szycia sukien i okryć damskich**, wyd. 8-me napisana przez **A. GAŁECKĄ**, autorkę wielu wydań, jest do nabycia we wszystkich księgarniach.

Skład główny w Zakładzie nauki. Ulica Krakowskie-Przedmieście Nr. 85. 3—1

MAGAZYN

ZJEDNOCZONYCH STOLARZÓW

W WARSZAWIE

ulica Tłomackie Nr. 507/1

poleca wybór mebli i różnych posadzek.

13—1

TANIO DUŻY WYBÓR DYWANÓW

perskich, Kaukaskich, Buharskich, Uralskich, Angielskich i innych— od s. 1 k. 50 do 400 za sztukę, największych. **KOLDER** różnych, Serwet, Der, Chodników, od 18 kop —Przedmiotów Orientalnych i t. p. Magazyn Gielżyńskiego w podwórzu—Marszałkowska N. 65. 52—28

Kto chce się ubrać tanie i wykwiintnie, niechaj się uda

do Magazynów

S. BIAŁOCHUBKA

Ś-to Krzyżka Nr. 23

i Bielańska, Hotel Paryżki

gdzie przy wielkim wyborze materiałów i ubiorów gotowych, można mieć ubranie wykonane w przeciągu 24 godzin.

Produkując en gros, magazyny **Białochubka** są w stanie oddawać wyroby swe **najtaniej** jak o tem przekonać się można na miejscu.

Próby, Cenniki, oraz sposób wzięcia sobie miary, wysyłają się bezpłatnie. 52—32

Kupcom rabat!



Fabryka Luster i Ram

WŁ. ZACHWATOWICZA

Ulica Nowo-Senatorska — Hotel Litewski — Nr. 5.

poleca LUSTRA od najskromniejszych do najwykwintniejszych — przyjmuje reparacje i odnawianie.

SKŁAD LISTEW ZAGRANICZNYCH DO OBRAZÓW.

Przyjmuje się również

OBRAZY DO OPRAWY. 4—4

Ceny możliwie niskie!

FABRYKA WYROBÓW POWROZNICZYCH, ŻEGLARSKICH i przyrządów gimnastycznych

oraz

Specjalna fabryka pasów do elewatorów, transporterów, węzów parcianych, kublów do wody i linek drucianych

K. GIELICKI

w Warszawie, Mokotowska 21 (przy placu św. Aleksandra).

Biuro:

1-a Główny skład, Marszałkowska N. 32 w domu dawniej Laferme.
2-a Długa Nr 43, naprzeciw Nalewek.
3 a Mokotowska Nr 21. 40—6

Przewodnik Firm Handlowych i Przemysłowych.

ANTYKWARYATY.

Gabinet księgarsko-antyczny, Cezarego Wilanowskiego, Bracka Nr. 7.

FABRYKI BILARDÓW.

Trotschel F. Czerniakowska N. 68, wprost Górnej—w domu własnym.

FABRYKI POWOZÓW.

Stopezyk Jan. Fabryka powozów, Elektoralna Nr. 7c (794)

FABRYKI SZUWAKSU I ATRAMENTU.

Gliński S. Szuwaks glicerynowy i atrament. Nowy Świat, 67.

KAPELUSZE i CZAPKI.

Tuczyn Antoni. Magazyn kapeluszy i czapek. Podwał, 14.

MAGAZYNY STROJÓW.

„Daleszyńskie“. Pracownia strojów damskich, Marszałkowska Nr. 57.

MAGAZYNY MEBLI.

Dzięgielewski Józef. Magazyn mebli i tapicerski Ś-to Krzyżka Nr. 8.

Otwinowski T. Zakłady stolarskie, tapicerskie i dekoracyjne. Nowy-Świat Nr. 38.

MASZYNY POMOCNICZE (dla fabryk i rzemiosł).

Gerlach et Comp. Srebrna N. 8.

OBICIA PAPIEROWE.

Czarnecki J. i Syn. Obicia papierowe, ceraty, rolety, gzem-sy do firanek. Nowy Świat 76.

Rembierz A. Wielki wybór—najniższe ceny. Chmielna, 25.

OZDOBY KOŚCIELNE.

Szonert Karol. Fabryka ołtarzy i innych ozdób kościelnych, Chłodna Nr. 14.

SZEWCY.

Hiszpański Stanisław. Szewc. Warszawa, Długa Nr. 35.

Zbrożek Józef (syn). Magazyn obuwia damskiego i dziecięcego. Przejazd Nr. 2.

WYROBY METALOWE.

Bitschan Paweł. Fabr. wyr. brązowych, aparatów kościelnych, napisów metalowych, herbów i liter. Długa, 47.

K. M. Kaczanowski. Fabryka brązowniczo-tokarska i platerowanie. Młodowa Nr. 1.

WYROBY ZŁOTE I SREBRNE.

Jakimowicz J. Fabryka wyrobów złotych i srebrnych, — wyroby gotowe. Senatorska 22.

Mankiewicz M., Wyroby złote, srebrne i brylantowe. gmach Teatralny pod filarami.

WYROBY ŚLUSARSKIE.

Puchalski J. — Fabryka slusarsko mechaniczna. Tłomackie Nr. 6. — Długa Nr. 51.

ZAKŁADY PRZEMYSŁ.-CHEMICZNE.

W. Karpiński i W. Leppert

polecają

Farby Olejne

we wszystkich kolorach.

Massy Woskowe

i zaprawy do podłóg.

Lakiery Powozowe

Lakiery dla Malarzy i celów technicznych.

SKŁAD FABRYCZNY W WARSZAWIE
ELEKTORALNA 33. 6—6

Treść numeru. Co nam dało braterstwo?—Przegląd spraw ziemskich, przez J. Oracza. — Wielki człowiek (ilustracja do gospodarki finansistów niemieckich), przez P... (d. e.)—Badania nad pochodzeniem ludności naszego kraju. — Listy z nad Niwiaży przez Mikołaja Tysa. — Na posterunku feljeton Kamiennego.—Z zagona (dok.)—Z listów do „Roli“.—Kronika bieżąca kraj. i zagran.—Sprawozd. handlowe.—Odpowiedzi redakcyi.—Ofiary—Ogłoszenia.—W udcinku: Pułkownik, Obrazek wiejski, przez Klemensa Junoszę.